

Grey Scale #13



DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



6d 80P
587
Wypisy z dzieł pisarzy, poetów i publicystów polskich
P O L S K A
JAKĄ JĄ PAMIĘTAMY

(WYPISY Z DZIEŁ PISARZY, POETÓW
I PUBLICYSTÓW POLSKICH)



Passender

WOJSKO POLSKIE
Sztab Generalny
Biblioteka

Nr. *15158*

WYDZ. OP. N/ZOŁN. D-TWA JWVB

1944

Biblioteka Sztabu

4815

80 POL

Wypisy z dzieł pisarzy, poetów i publicystów polskich
1954



6d 80 P
587
Wypisy z dzieł pisarzy i poetów
P O L S K A

JAKĄ JĄ PAMIĘTAMY

(WYPISY Z DZIEŁ PISARZY, POETÓW
I PUBLICYSTÓW POLSKICH)



80 POL

~~Passenderter~~

~~WOJSKO POLSKIE
Sztab Generalny
Biblioteka~~

Nr. 158

WYDZ. OP. N/ŻOŁN. D-TWA JWVB

1944

Biblioteka Sztabu Generalnego

4815

Wypisy z dzieł
1954

Zbiorek niniejszy zawiera wypisy z dzieł niektórych pisarzy polskich, poświęcony głównie Zachodnim Ziemiom Polski. Skromne rozmiary zbioru nie pozwalają na włączenie szeregu arcydzieł poezji i prozy, sławiących piękno ziemi polskiej, przepięknych umiłowaniem Ojczyzny. W najbliższym czasie postaramy się dać naszym czytelnikom podobne zbiorki, opisujące inne ziemie naszego Kraju. Zamieszczony na końcu zbioru alfabetyczny wykaz autorów pozwala na zorientowanie się w jakim okresie dziejów naszych rozwijała się twórczość danego pisarza.

Czytelnicy proszeni są o kierowanie wszelkich zapytań i ewentualnych uwag w związku z tym tematem do Wydz. Opieki n/Żołnierzem D-twa JWBB, bądź bezpośrednio, bądź przez oficerów opieki swojej jednostki.

Wydz. Opieki n/Żołnierzem D-twa JWBB wydał już lub wydaje w czasie najbliższym następujące broszury o treści ogólnie informacyjnej:

Armia niemiecka w 1939 r. i obecnie.
 Sprawy polskie w latach 1939 — 1944.
 Rzesza niemiecka po pięciu latach wojny.
 Pięć lat okupacji niemieckiej na ziemiach polskich.
 Trzy lata frontu sowiecko-niemieckiego.
 Z.S.S.R. po trzech latach wysiłku wojennego.
 Polska geografia i stosunki gospodarcze.
 Polska jaką ją pamiętamy (antologia literacka).
 Od Hunnów do Hitlera (zarys historii Niemiec).
 Wpływ kulturalny Polski na wschodzie (streszczenie podziemnego wydawnictwa krajowego).
 Katolicyzm i Prawosławie.
 Konstytucja i ustrój sowiecki.

WYŁĄCZNIE DLA WOJSKOWYCH

Niniejsze wydawnictwo ma charakter wojskowy i może być sprzedawane tylko wśród wojsk polskich i sprzymierzonych, a treść jego nie powinna być podawana do wiadomości innym osobom.

NOT TO BE PUBLISHED

This publication is a military document and must not be sold nor must its contents be communicated to any person who is not a member of the Polish Forces or other Allied Forces.

22539/1

MARIA KONOPNICKA

O J C Z Y Z N A

*Ojczyzna moja — to ta ziemia droga,
Gdziem ujrzał słońce i gdziem poznał Boga,
Gdzie ojciec, bracia i gdzie matka miła
W polskiej mnie mowie pacierza uczyła.*

*Ojczyzna moja — to wioski i miasta,
Wśród pól lechickich sadzone od Piasta,
To rzeki, lasy i niwy i łąki,
Gdzie pieśń nadziei śpiewają skowronki.*

*Ojczyzna moja — to praojców sława,
Szczerbiec Chrobrego, cecorska buława,
To duch rycerski, szlachetny a męski,
To nasze wielkie zwycięstwa i klęski.*

CO TO ZNACZY BYĆ POLAKIEM?

Światło słońca rozszczepione składa się z siedmiu barw. Gdyby którakolwiek z nich zniknęła, przestałoby ono być białe i prawdopodobnie straciłoby swój potężny i dobroczynny wpływ, jaki wywiera obecnie na całe istnienie i życie świata.

Gama muzyczna także składa się z tonów. Gdyby którykolwiek z nich zniknął, powstałyby szczyrby w melodiach, które dziś zachwycają nas swoją harmonią.

Podobnie kultura ludzka składa się z twórczości rozmaitych narodów, i również, gdyby którykolwiek z nich, mający w niej istotny i ważny udział, znikł, zubożyłby ją jakimś mniej lub więcej dotkliwym ubytkiem.

Cała natura nie dąży do ujednostajnienia, ale do różnorodności, nie stara się ona, ażeby wszystkie rośliny lub zwierzęta zmniejszały swoją ilość do nielicznych typów, przeciwnie, powstają w niej coraz nowe rodzaje, gatunki i odmiany. Z paru pierwotnych postaci róż narodziło się potomstwo, dochodzące do 7000 odmian. To samo zjawisko występuje wśród ludzkości. Szwajcarzy uczą się w szko-

łach trzech języków: francuskiego, niemieckiego i włoskiego, mimo to w domu i w stosunkach prywatnych używają osobnej gwary, która w każdym kantonie jest inna. Francuzi mają jeden język literacki, a kilka prowincjonalnych, których postęp oświaty wcale nie zatracą, raczej mnoży. Wobec tego można przypuścić, że w przyszłości będzie coraz większa różnorodność wszystkich twórców natury: roślin, zwierząt i ludzi.

Ta różnorodność jednak nie posunie się tak daleko, ażeby każdy człowiek był zupełnie odmienny od innych, bo wtedy ich życie łącznie społeczne, byłoby niemożliwe. Muszą oni, obok różnic, posiadać pewne cechy wspólne, które ich zwiążą. Ta wspólność objawiać się będzie zawsze najmocniej i najwyraźniej między ludźmi, zamieszkującymi pewien obszar ziemi, posiadającymi jednakowe warunki życia i związanymi ze sobą pokrewieństwem fizycznym i duchowym, podobieństwem potrzeb i zadowoleń. Słowem, wyjąwszy nieliczne osobniki, które skutkiem swych szczególnych upodobań przerzucać się będą z miejsca na miejsce i uznawać się za obywateli całego świata, a nie jednego kraju i społeczeństwa, każdy człowiek będzie miał swoją ojczyznę i swój naród. Ale sięgając przewidywaniem w odległą przyszłość, możemy stwierdzić, że obecnie każdy jest i chce być mieszkańcem jakiegoś kraju i członkiem jakiegoś społeczeństwa. Krzew kawowy kwitnie w strefie gorącej, a ginie w zimnej, brzoza rośnie bujnie w Europie, a karleje w Afryce. tak samo dzieje się ze zwierzętami i z ludźmi. Wszystko, co żyje, ma swój patriotyzm.

Patriotyzm jest potrzebą, jest zadowoleniem, a nade wszystko miłością: ukochaniem rodzinnej ziemi, spółbraci, swojskiej mowy, historii, stosunków, urządzeń, całej kultury. Ta miłość nabiera największej siły u ludzi, którym odebrano lub zniewolono ojczyznę. „Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie, ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił“ — wyraził tę prawdę na początku swego nieśmiertelnego poematu, Mickiewicz. Czem są znakomite utwory jego samego i innych współczesnych mu pisarzy polskich? Chórem potężnych i czarujących głosów boleści, żalu, tęsknoty, wiary i nadziei, zwracanych do ukochanej, uwielbianej i cierpiącej ojczyzny. Rzecz, można, że cały wiek XIX był w poezji naszej i prozie, jak zresztą we wszystkich objawach życia bądź głośnym hymnem, bądź cichym szeptem, bądź głuchym tętnem miłości ojczyzny.

Płonęła ona niegasnącym ogniem w zboląłych sercach męczenników. Artur Zawisza, skazany na śmierć za panowania Mikołaja I, stojąc pod szubienicą powiedział: „Gdybym miał sto żyć, wszystkie ofiarowałbym ojczyźnie“. Szymon Konarski, przygotowując się na śmierć, w celi więziennej, pisał natchniony wiersz z przemową do Boga: „Ja w tej izbie przeżyłem wszystkie serc katusze. Stąd widziałem, jak Polskę zalało łez morze. Tam nie dbałem o życie, tu nie dbam o duszę, ale Polskę zbaw, Panie, Polskę wybaw, Boże!“. Romuald Traugutt, będąc pewnym, że jako naczelnik powstania styczniowego będzie schwytyany i stracony, nie przestał działać, a przed powieszeniem rozmawiał spokojnie ze spowiednikiem. Tym bohaterom miłość do Polski tłumila obawę śmierci. Skazany na ciężkie roboty za udział w spisku Ściegiennego Tokarzewski opowiada w swym pamiętniku, że gdy go bito pałkami,

on za każdym uderzeniem powtarzał sobie: „To za odkupienie twoje, kochana ojczyzno!” i nie cierpiał. Skazańcy polscy w kopalniach Syberii wytrzymywali najstraszniejsze katusze bez żalu i skargi. Niektórzy z nich, zmęczeni pracą i ubytkiem sił, wychodzili codziennie rano i zwróciwszy się twarzą ku zachodowi, pozdrawiali z daleka ojczyznę i odmawiali za nią modlitwę. Żona jednego z katorżników syberyjskich, tęskniącego do Polski, ukryła go w podwójnym dniu bryczki i przewiozła szczęśliwie setki wiorst, ale, sturturowany okropnym położeniem, zdradził się i został z powrotem wysłany. Niezliczony, wielotysięczny szereg tych męczenników przesunął się przez więzienia, osady ciężkich robót i szubienice, a zaledwie mały ich procent zламаł się.

Niedola rozproszyła Polaków po całym świecie. Można objechać wokół całej kuli ziemską i wszędzie ich spotkać po drodze, na najdalszych łądach, na najbardziej odosobnionych wyspach. Często bardzo zarzucony gdzieś w zupełnie obce otoczenie samotnik, usłyszawszy od podróżnika mowę rodzimą, przybiega do niego wzruszony, załamany, ażeby chociaż przez chwilę ucieszyć się przypomnieniem ojczyzny. Nieraz zdarza się, że taki tułacz zagubił częściowo lub całkowicie język polski, a nawet wszystkie cnoty ludzkie, a jednak zachował w sercu niezerwaną strunę miłości ojczyzny, która wydaje rzewny dźwięk po najlżejszym trąceniu. Widzieliśmy, jaką radością i ofiarnością powitali wskrzeszenie Polski dawno od niej oderwani i w znacznej mierze wynarodowieni wychodźcy polscy w Ameryce. Zawsządbiegają się do nas wymowne dowody, że umiłowanie polskości jest uczuciem, głęboko w dusze nasze wkorzenionym, nadzwyczajnie trwałym i rzadko zniszczalnym, że nawet wtedy, kiedy w ludziach na obczyźnie zgasną wszystkie iskry czystego ognia, ta jedna tli się ciągle w jego popiele.

Człowiek może pomyślnie działać i tworzyć tylko wtedy, kiedy używa swoich przyrodzonych uzdolnień, które mu daje pochodzenie, i kiedy korzysta z tych zasobów duchowych, jakie mu daje wpływ swojskiego otoczenia. Polak, gdyby nawet wychował się w warunkach i gromadzie Murzynów lub Eskimosów, nie będzie do nich podobny ani fizycznie, ani duchowo. Można nauczyć słonia jeździć na rowerze, a psa tańczyć, jednakże to już nie będzie ani właściwy słon, ani właściwy pies, i żaden w popisach cyrkowych nie okaże swojej przyrodzonej zdolności. Otóż Polak, żyjący w środowisku odmiennym, jest człowiekiem tresowanym, który nauczy się wykonywać sztuki naśladownicze, ale będzie istotą wynaturzoną.

Dwaj nasi najwięksi poeci, Mickiewicz i Słowacki, w dojrzałym, ale jeszcze młodym wieku, osiedli we Francji i Szwajcarii, w krajach najwyższej kultury. Czy na nich i na ich twórczości odbił się silny wpływ nowego otoczenia? Bynajmniej. Pozostali Polakami jeszcze gorętszymi, niż przedtem, żar bowiem patriotyzmu podniecała w nich tęsknota. Oparł się temu wpływowi również Bohdan Zaleski i inni — poeci, powieściopisarze, publicyści, politycy, wszyscy składający się na wielką masę emigracji naszej. Znalazł się w niej Polak, uznany przez cały świat za największy geniusz w swoim rodzaju: Chopin. Miał w swych żyłach znaczną domieszkę krwi francuskiej, przebywał w Paryżu, przetapiającym i odlewającym według swoich modeli najtwardsze charaktery; on jednak, związany najściślejzymi sto-

sunkami z tamtejszą arystokracją duchową, uwielbiany gość salonów, czarowany ponętami i odurzany holdami, pozostał w swoich uczuciach i utworach czystym Polakiem. Czy mogło być w muzyku coś śmielszym, niż rozsznuwanie w pomysłach artystycznych pasma melodyj chłopstwa polskiego, uważanego w Europie za najbardziej barbarzyńskie i najuboższe w pieśni? Czy mógł ktoś przypuścić, ażeby nasze śpiewki ludowe dostarczyły wątków do arcydzieł? A jednak Chopin tego dokonał w swych kompozycjach, dotąd przez cały świat podziwianych i dotąd przez nikogo niedosięgnionych. Mógł zaś te cuda sprawić dlatego jedynie, że pozostał Polakiem.

Od wieków przez dzieje przewija się dążność odnarodowienia człowieka i połączenia całej ludzkości węzłami braterstwa. Dążność ta nie musi mieć złych pobudek. Prawdziwie ideowi jej rzecznicy mają na celu usunięcie powodów do nienawiści, wojen, podbojów, ujarzmiania słabych przez silnych, słowem, całej sieci gwałtów i wszelkich nieprawości. Gdybyśmy nawet uznali słuszność tych marzeń, to jednak musimy przyznać, że obecnie i w najbliższej przyszłości ludzie chcą żyć w narodach i że zawsze będą tworzyli odrębne grupy, zależnie od poszczególnych warunków ich istnienia i pochodzenia. Dopóki ziemia nie ujednolajni swoich klimatów i pólów, co prawdopodobnie nigdy nie nastąpi, dopóty te grupy przedstawiać będą wielkie różnice, tworzyć plemiona, szczepy, narody: jakieś gatunki i odmiany rodu ludzkiego. Ale tymczasem pozostajmy w teraźniejszości i słuchajmy jej niezłomnej woli!

Jesteśmy Polakami i starajmy się nimi być w najdoskonalszych postaciach! Jest to nasz wielokrotny obowiązek. Naprzód przyrodzony obowiązek dzieci względem matki. Polska nas urodziła, wychowała, ukształciła, dała nam wszystko, co człowiek z zewnątrz otrzymać może. Jeżeli w duszach posiadamy jakiekolwiek skarby, to wszystko dostaliśmy od niej. Ona nauczyła nas myśleć, czuć, pracować, tworzyć, uwielbiać piękno, czcić zacność, rozwijać i użytkować zdolności, pomagać bliżnim, wznosić się do ideałów, zdobywać się na bohaterstwo. Gdybyśmy jej zwrócili całkowity dług, którzy jesteśmy winni, pozostalibyśmy biedakami. Gdybyśmy go odstąpili cudzej ojczyźnie, byłibyśmy oszustami. Jeżeli nawet coś zawdzięczamy nie jej, to w każdym razie przez nią. Bez jej udziału, pomocy i opieki stalibyśmy się sierotami, żyjącymi cudzą łaską. Nie ma większego fałszu nad przechwałkę, że ktoś winien wszystko sobie. Przy największym wytężeniu swoich sił i najlepszym zużytkowaniu swoich uzdań jesteśmy tworem własnego narodu. Opuszczając go, uciekamy, jak niewdzięcznik lub przeniwierca, który unosi ze sobą powierzone mu wspólne bogactwo.

Po wtóre, Polakami musimy być z obowiązku miłości, której Polska jest godna. Nie uwalnia nas od tego to, że złe dzieci plamią jej czystą szatę, że w jej bohaterstwie lęgną się gady drapieżne, że w rachunkach życia jej rodziny są czyny naganne, że blisko jej stóp owijają się jadowite płazy. Patrzmy na nią tak, jak patrzą poszukiwacze pereł na morze, dla których nie tracą one wartości przez to, że leżą w mule, lub jak poszukiwacze złota na dziką pustynię, dla których nie tracą one wartości przez to, że jest zmieszana z piaskiem. Trzeba oddzielić i odróżnić wszystko to co jest zabrudzeniem klejnotu i wydobyć go czystym. Otóż bez przesady rzec można, że

oczyszczony kryształ narodu polskiego jest piękny, że posiada blaski, albo u innych wcale nie dostrzegane, albo nie świecące z taką siłą. Połak jest charakterem szlachetnym, wspaniałomyślnym, dobrym, bohaterskim, ofiarnym, czułym, niezdolnym do gwałtu, tyranii, okrucieństwa i podstęp. To też poeta Krasinśki miał prawo o nim powiedzieć, że „na ziemi być Polakiem, to żyć bosko i szlachetnie”.

Trzeci obowiązek patriotyczny dotyczy naszego stosunku do reszty ludzkości. O ile żyjemy w narodzie, o ile z niego czerpiemy pobudki i natchnienia, o ile nie jesteśmy zwyrodnieni i wynaturzeni i przekształceni, o tyle stanowimy czynniki siły. Można przerobić arfę na cymbały, słowika nauczyć gwizdania walców. Ale ani cymbały nie dorównają swym dźwiękiem arfie, ani gwizdanie walców śpiewom słowika. Człowiek nie jest bryłą gliny, z której dziś można ulepić Kościuszkę, a jutro Bismarcka. Jeżeli zaś naród polski ma istnieć i w swym niezależnym istnieniu być uprawnionym nie tylko przez siebie, ale przez inne narody, musi w słonecznym widmie kultury, o której mówiliśmy na wstępie, posiadać własną barwę. Musi w symfonii świata mieć swój własny ton, być czymś odrębnym, oryginalnym, nieprzyczepionym, niedomieszanym, nieprzerobionym, nienastrojonym według obcego kameronu. Musi on być w świecie sam jeden do pokrewnych podobny, ale od wszystkich odmienny, jak odmienną jest od innych planeta, chociaż również, jak one, świeci, jak odmienny jest lew wśród kotów, a cis wśród iglaków. A to jest możliwe wtedy, gdy Polacy będą prawdziwymi Polakami.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI*)

Wędrujemy tysiącami po obliczu ziemi, sławni lub nieznani, zarabiając za oceanem na rozgłos, na bogactwo lub tylko na suchy chleb; ale zdaje mi się, że dla każdego z nas powrót do kraju musi być jakby zdaniem rachunku. Wracamy, aby stanąć wobec naszych zwierzchników, krewnych, przyjaciół, — tych, którym jesteśmy posłuszni i tych, których kochamy, lecz nawet ludzie nie mający ani jednych ani drugich, zupełnie swobodni, samotni, pozbawieni wszelkich więzów i obowiązków — nawet ci, których nie oczekują kochane twarze i dobrze znane głosy — muszą się spotkać z duchem, przenikającym kraj, duchem, którego pełno pod niebem, w powietrzu, w dolinach i na pagórkach, na polach, w wodzie, w drzewach — z niemyim przyjacielem, sędzią i natchnionym doradcą...

Każde źdźbło trawy ma swoje miejsce na ziemi, skąd czerpie życie i siły; i tak samo człowiek jest wrośnięty w kraj, z którego czerpie swą wiarę wespół z życiem.

JOSEPH CONRAD (KORZENIOWSKI)

*) Z książki zbiorowej „Miej serce“, (Lwów, 1931).

BRZEGIEM WISŁY

Na wschód od Gopla, od Warty, tam, gdzie niegdyś czerniały mazowieckie puszcze, pierś ziemi dźwiga się i opada głębokim mocnym i żywiącym ruchem. Tam bije samo serce Polski. Miasta tu gęste, zasobne, przemysłne, jedne pracą licznych rojowsk ludzkich huczące, pełne fabrycznych dymów i łoskotów; inne pieczęcią dziejów krwawo znaczone i przygięte wiekiem, jeszcze inne, na wpół sielskie, prawie, rozciekawiają się po okrajach w dwory i w dworki, w półka, ogrody i pastwiska.

Tu Zawichost osędziały w wielkiej swej dawności, tu Czersk warowny niegdyś, tu Czerwińsk, pamiętający jeszcze dwunaste stulecie.

Tu siedzi stare Płocko nad wiślaną tonią; tu Wyszogród na stromym wzgórzu sterczy; tu Raszyn, Grochów, Wawer; tu bohater-ska Wola, tu Praga z przebitą pierśią, tu Wisła i tu Warszawa. Wisła i Warszawa, to prawie że nie miana grodu albo rzeki, ale hasła rodowe, obwoływane z wieku na wiek po strażnicach ducha.

Wsie te rozbudowane mocno, gromadnie, na dobrych glebach, na błoniach żyznych, siedzą zasobne, dumne w sobie, rodowe, trzymające się ziemi wszystkimi korzeniami życia.

A lud to kwiecie się; modrzy i czerwieni w swoich krasnych wełnach, to bieleje siwym lnami płótnianek, to brunatną sukmaną podobnym się czyni świeżo odwalonej a rodzajnej skiby.

Tu czasu żniw słońcem palą się kosy, tu sierpy, jak mieszące nisko przy ziemi chodzą; tu znojne skrzypienie plużyc, soch, lemiesz; tu pot i trud twardego zwarcia się człowieka z ziemią.

Ale po wzgórzach brzoźowe gaje, w lekkuchnych szmerach chwieją majową zielen młodych pędów; nad strugami stają rozplakane, srebrne od łez wierzby z nie kończącą się nigdy skargą swej żaloby; na rozdrożach, na wygonach rysujących się wielkimi liniami skroś łągów i łąnów, siedzą graniczne kopce okwitłe tarniną i głógiem, stają prastare krzyże śród osik, jarzębin, topoli; rosochate grusze ścielą koliska szerokiego cienia.

A pola idą w dalekość siną, w jakieś ogromne przezrocza coraz bledszych błękitów, w jakąś różaność zórz, niecących się i ugasających nad nimi, w jakąś perłowość tumanów zwiewających się rankiem i wieczorem aż tam, het, precz gdzie na ostatnim zrębie widnokregu czernieją bory, szumiące mocną, niewypowiedzianą powieścią dawnych czasów. Gdzieś poryk nagły przeniknie powietrze, gdzieś się zanieśie huk młota, łoskot iskry; gdzieś uderza nagła wrzawa zmieszanych, natężonych głosów.

Od łąk, od strug, od progów chaty biją nawoływania rozciągle, echowe; biją zawodzenia fujarek pastuszych.

A przy chacie sad chróstem grodzony pali się od malw, od jaskrów, od słonecznikowych, pozłocistych tarcz; a pod okienkiem pachnie grzędą ruty, szaflwii, mięty i bożego drzewka.

Za sadem, na bielniku, siwe płótna srebrnieją od słońca, a zóraw studzienny to tu, to tam zaskrzypi zwysoka, a dym jałowcowy miesza się z zapachem świeżo pieczonego na klonowym liściu chleba.

Nad chatą, nad wioską, nad polem pełne bladej modrości i bicia skowronczych piórek, niebo przeczystą kryształową kopułą obej-

muje świat, wymyte, zda się, w świeżych rosach i rozkwicie słońcem, zaś płomienieje od letniego skwaru: toczą się po nim chmury, burzliwe, nawalne, przecinane czarną błyskawicą jaskółczych, niespokojnych lotów. Zaczynam rozświetlone bladym złotym jesiennego ranka sieje na ziemię niewypowiedzianym urokiem przesłodkiej pogody i ciszy, w której przemijają po śródniebnych drogach długie ciągi lecącego na wyraje ptactwa.

A gdy przeminą, ugasa w sobie, mąci się i blednie, przyodziewa szarą płachtę deszczowych obłoków, aż kosztnieje razem z ziemią w lodowatych mgłach i mroźnych oparach.

Rankiem i wieczorem, w polu i w chacie, przy pracy i przy zabawie wybucha wieś pieśnią. Jak wody potoku z głębokiego źródła, tak bije pieśń samorodna z zatajonych źródeł ludowego ducha. Zrywa się, ulata, płynie z niewysłowioną rzewnością i tęsknotą, kipi życiem, swobodą, weselem, czynia uroczyste momenty życia prastarą obrzędową nutą, nosi się nad jary, nad łąny, nad ugory; usypia dziatwę, ociera pot oraczowi z czoła, dodaje siły i rozmachu kosie, dzwoni z grabliskami po sianożęciach, po łąkach, aż się rozetka, zawodzącą za tym wozem zaprzężonym w woły siwe, na którym chwile się ostatnia domowina kmiecia, zbita z desek trumna, idzie płakać z sierotami pod cmentarne wrota.

A w bok od wrót cmentarnych, przy których rzadkie sosny w szczerym piasku stoją, szemrząc z wiatrem pacierze za pomarłe kmiecie; a pod wiankiem lip, klonów, topoli, pełen trzepotu gołębi i wróblích świergotów trwa z wieku na wiek ubogi kościół wiejski, mający w swej prostocie i powadze coś ze starych gontyn, gdy w nim zapachną woski i święcone zioła.

Miedziami łąnów zbożnych, przydrożkami pokrytych pyłem gościńców, ciągnie tu w święteczne rano lud strojny a rojny, skoro posłyszysz dzwon ze starej wieży. A wtedy skróś ptasich przelotów i gwarów, skróś szumu lip i brzęku pszczylnych rojów, biją w niebo strzeliste wzdychania, łomot zaciśniętych pięści w przejęte skrucą piersi i falą przelewający się nad tłumem żarliwy, modlitewny poszept.

Aż się zaniosą wichrem głosy i w strop kościelny uderzą jak burza.

...Święty Boże! Święty Mocny! Święty a Nieśmiertelny!...

A wtedy wszystko, co się mrówczą pracą krzątało po nizinach ziemi, dostaje skrzydeł i lotu, a całe podniebie pełne jest duchów prostych, bijących czołem o podsienie Boże.

A tam, skróś wysady szumiących topoli bieleje dwór starowieczny, z modrzewia stawiony dwór, którego belki głośnie są od gniazd jaskółczych i od ich przesłodzi.

Tu okna niskie, szerokie zielnikom kwietnym podobne; tu ganki one dzikim winogronem strojne, tu zadumane srogie twarze dziadów, ściągnięte troską ojców, tu młodość promienna rwie się do życia, do czynu.

Czasem na wzgórzu, w ostępie tarnin i dzikiego głosu zamajającą się ruiny rycerskiego gniazda i powieją tumanem podań starej, złotej sławy. Czasem jakaś mogiła polna przemówi głośno, surowo, donośnie, wielką swoją ciszą. Czasem głuchy bór zahuczy, jak w trąby bojowe, czasem dreszcz przeleci polem, jak poszept tajnego hasła.

Ale nad wszystkie poszepty i głosy wynosi się, panuje królewaki szum Wisły. Gdy ona zrzuci lody i zagada, cały kraj słucha jej gromkiego huku. Gdy ona potężnym nieokiełznanym pędem się zaniesie, cały kraj drży pod jej srebrną chłostą. Gdy ona idzie a przechodzi w swych wyrocznych drogach, cały kraj czuje, że u jej kresu, tam, jest nasze morze.

W szumach jej słysząc odwieczne rozhowory starego Beskidu i srebrne drżenie potoków, niosących do niej czyste swoje wody. Szerokie, spiżowe dźwięki Zygmunтового koronnego dzwonu i szept harfiany czarnoleskiej lipy, odmawiającej psalterz wieków i pokoleń. Do niej pędzi Dunajec w rozechwianych pianach swych zawrotnych lotów; do niej San śpieszy z pod Czerwiennych Grodów; z nią łączą się i jednoczą święte wody Bugu nierozzerwalną i wieczystą unią. Za nią idą sosny naszych borów i królewskie dęby, idą złote pszenice i siwe lny pól naszych rodzajnych. Nad nią pieśń flisacza leci szeroko daleko, niosąc ojczyste dźwięki pod wtór morskich szumów. Ona modrym przesłem wiąże stare Śląsko z nami; opływa dwa koronne zamki naszych stolic; idzie przez pachnące chlebem Kujawy, bieży pod Toruń, którego poczerwiałe wieże pełne są jeszcze widzenia wieczności, uderza srebrną tarczą o Chełmno, o Grudziądz, o Kwidzyn, budząc je z dziejowego uśpienia, aż dobieżawszy naszych pomorskich dzierzaw, roztwiera oboje ramion, i zanim rzuci się w odmęt potężnym, szerokim od Gdańska po Królewiec uściskiem obejmuje tę ziemię, na której nam wyznaczyła wielką historyczną drogę.

Ale tam, gdzie Wisła dwojgiem ramion obejmuje ziemię, i ziemia chyli się i przykłania ku niej, roztopiły się wzgórza, wyrównały brzegi, wstecz poszły lasy i gaje, ławice ostrowy, a kraj uczynił się niski, przepadzisty, płynny.

Prerie to nasze, nasze Malborskie Żuławy, którym równe jeden Niemen tylko pomiędzy Tylżą a Ragustą czyni. Tymczasem na lewo i na prawo wód przybywa coraz.

Ziemia popruta krótkimi ciekami rzek przymorskich niezdolna objąć całej ich mnogości, jest jako sieć, przez której oka przelewa się żywe srebro bijących zewsząd ruczajów. Gęsto oprawione w szmaragdową zieleń traw, stoją jasne szyby wodne, w których przegląda się kraj dziwny, pomglisty, głośny szmerem strumieni, pluskiem wiosła, ostrym krzykiem i trzepotem rybitw, mających tutaj wielkie swoje sejmy.

Inszy tu świat, insza piękność, inszy obyczaj żywota.

Tu naród szczudkuje, jak czapla, po wertepach wodnych, tu się funduje w groble, w tamy, w kanały, w stawidla, a podrywki i sieci więcej bodaj w chacie, niż kos albo sierpów.

Ale im dalej ku północy, tym bardziej ugasa zieleń traw i zbóż, ustępując ławicom mokrego iltu, słonym morskczynom, szarości odpłóczysk i piasków. Aż przymknie się ostatni okraj ziemi i rozewrze trzy cudnie rzeźbione czasie wielkich swych zatoczysk i uczyni się nad nim szum morza i otworzy się przed nim gościniec w świat cały, a mocny dech szerokich wolnych przestrzeni owionie go rześkością i siłą. Stań tam, pod grzmiącym hukiem fal, które, runąwszy w przepaść dźwigają się nieśmiertelnym ruchem, stań na ostatecznych cypłach Pucka, Połągi, Windawy, a spojrzysz w nieobjęte okiem roz-

tocze Bałtyku. Tu jest nasz kres, tu granica nasza, palcem przyrody wskazana. Tu wielkie wschody i zachody słońca topią swój szkarłat i złoto w ojczystych rzekach naszych, Wiśle, Niemnie, Dźwinie; tu dobiegają blaski starej naszej chwały, tu wiatr donosi pieśń ludu, tu zatkwiona jest kotwica naszych wspomnień i naszych nadziei.

MARIA KONOPNICKA

MARYLA WOLSKA

STRAŻ NAD WARTĄ

*O Warto rzeko, wodo rodzona,
U Jasnej Góry na bój święcona!*

*Jużeś znów nasza, już jesteś w domu,
Już cię nie damy zbrukać nikomu.*

*O wodo czujna, wodo zawzięta...
Każda twa kropla wie i pamięta.*

*Wie, że na przeciw, o miecz się wsparłszy,
Patrzy na Poznań nasz wróg najstarszy.*

*O Warto rzeko, wodo rodzona,
Ślubują tobie nasze ramiona,*

*Ślubują tobie nasze miłości,
Na sąd i prawo, na krew i kości:*

*Twojego brzegu strzec nieodparcie,
Z duszą na baczność, z sercem na warcie!*

NAD GOPŁEM

A jako kwestarz z świątyni pamiątek chodziłem od sioła do sioła, — od chaty do chaty. — Tu ziarno piasku krwią uświęcone, tam odłamek kamienia z grobu bohatera — ówdzie pamięć czepiąca się zoranego latami czoła, jako bluszcz gruzów i ruin, — a tam znowu słowo ulatującego z dymem kurnego ogniska, — wszystko to brałem datkiem pielgrzymstwa i niosłem skwapliwie na wielki pomnik przeszłości. —

* * *

Pod wieczór stanąłem w Kruszwicy. —

O Gopło! Z pomiędzy wód naszych jedyne, wspaniałe; kolebko i grobie słowiańskiej przeszłości, jakże się z tobą powitać? Jakimże językiem przemówić do ciebie? ... Ileż to dźwięków różnorodnych przelatywało nad tobą bez śladu, bez echa! ... Czyż i mój głos przepłynie po fali wód twoich, jako te dni blasku i świetności, które ciebie otaczały niegdyś, a z których dzisiaj została jeno bajka usypiająca rozkwilone dzieci!

* * *

Stoję na brzegach twoich obnażonych, odartych z kwiatu swobody, podobien majtkowi wyrzuconemu na ziemię obcą, co marzy o szczęśliwszej, a dalekiej matce. — Czyż ją kiedy obaczę? Podobien majtkowi buduję ze szczątków rozbitego okrętu łódkę nadziei i puszczam się w niej na twój grzbiet nieugięty, nieujarzmiony nigdy — zawsze wolny, aby o wolności zadumać! ... Wichur nawałnic, który ponad tobą przewiewa, szum burzy, która fałduje twój wół posuwisty, krzyk puszczyka, który osiadł na szczątkach królewskiego gmachu, może natchnie pierś moją; — z popiołów zmarłej wielkości może odgrzebie iskrę nowego życia; — z powoju i bluszczu, osłaniającego ruiny dawnej świetności, może uwiję wieniec tryumfalny na skroń przyszłych bohaterów!

* * *

Wypłynąłem ... Ogarniam cię w całej okazałości, o ziemo moja rodzinna; widzę cię z nędzą i z groby twoimi! W nich stara sława twoja i potęga spoczywa; ona cię opuściła w chwili utrapienia, przemieszła się matce swojej; aleś ty, o ziemo nasza, wierna pozostała twym dzieciom; — żywisz i pielęgnujesz je. — Tyś zawsze niezmienna, ta sama! Piękną byłeś w szacie godowej, w czasie wesela synów twych; piękniejsząś stokroć, boś nieszcześliwą jest dzisiaj!

R. W. BERWIŃSKI

PISARZE POLSCY O NIEMCACH

Plemię germańskie (podług słów Adama Mickiewicza) jest fabryką i fabrykantem, który wyrabia w mózgach te gazy zdradzieckie, mające zabić wiarę i ducha ludzkości.

A. E. ODYNIEC

Nienawidzi Francuza i Włocha, Duńczyka, Szweda i Anglika, Polaka i Moskala, Madziara i Czecha! Kogóż on tedy kocha? Dziwne pytanie! Kogo samolub kochać podoba, jeżeli nie wyłącznie samego siebie? Lud niemiecki dzisiaj już obraził, odepchnął od siebie i znie-

wolił do nienawiści oraz pogardy ku sobie europejskie narody. Gdyby ostał się przy władzy, jaką piastuje w tej chwili, byłby otoczony wrogami, a bez sprzymierzeńców i samiuteńko, jak sobek.

BRONISŁAW TRENTOWSKI

Wojna między Niemcami a Słowianami, możnaby powiedzieć, nigdy nie ustawała i prawdziwie skończona być nie mogła. Był to niepojednany spór dwóch wyobrażeń, dwóch narodowości. Niemcy chcieli panować samowładnie i wytępić. Słowianie chcieli niepodległości i zachowania siebie. Bronili się tylko. Porozumienia, przyjaznych stosunków, nawet uprzejmości nie odmawiali Niemcom.

J. B. OSTROWSKI

Każde państwo dążące do przyszłości, a przeznaczone zająć stanowisko w świecie i w dziejach, mieć musi i ma też swoją podstawową główną przyczynę bytu, co jest jego odżywczą i poruszającą siłą. Od najdawniejszych czasów dopatrzyć się można pod tym względem, przy niezliczonych odcieniach, dwóch w historii głównych pierwiastków, potęgi bezpośredniej terytorialnej, zatem materialnej, i potęgi opartej na wpływie. Każdy z nich ma w sobie czynniki i warunki siły; jedynie połączenie i zastosowanie obu, stwarza istotną i dziejową wielkość. Zrozumiał i dopiął tego Rzym stary i dlatego pozostał wzorem i arcydziełem politycznej budowy.

Podstawową przyczyną bytu Prus, od początku do końca była wyłącznie potęga terytorialna i materialna z wykluczeniem i pominięciem drugiego pierwiastka wielkości, a ta jednostronność stanowi kalectwo dziejowe; wszystkie ujemne strony państwa i polityki pruskiej, są następstwami tego jednostronnego założenia pierwotnego.

STANISŁAW KOZMIAN

Ale może być co innego, wszak wszystko być może? Może król pruski i pruska szlachta staną na czele socjalnego ruchu i na nim ufundują ład nowy państwowy? A może robotnicy wydadzą z pośredką siebie dyktatora, który to uczyni po upadku dotychczasowych dynastyj. Wtedy głos pesymizmu umilknie na chwilę, i dzieje ujrzą ostatnią straszliwą próbę urzeczywistnienia niemieckiego ideału na nowej, demokratycznej podstawie. Potęga Niemiec dojdzie najwyższych kresów, wolność każdej jednostki zmaleje, praca się wzmoże, szczęście zniknie, a pesymizm wróci za śmiechem triumfu, przystępując już do wykonania wielkiego narodów samobójstwa.

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI

Z I E M I A S Ł A S K A

Ziemia bywa jak twarz ludzka.

Jedna zbiedzona, jakby zgryzotą w zmarszczki pomięta o wyblakłym spojrzeniu; inna znowu zamysłona, zamknięta w sobie, nigdy

do nikogo się nieuśmiechająca; a jeszcze insza bezpłodna i surowa. Ale takiej ziemi, coby uśmiech młodej dziewczyny przypominała, uśmiech jasny i zamyślony, to mało. Tam jeno powstała, gdzie Bóg w chwili jej tworzenia Swymi modrymi oczyma dobrotliwie się zapatrzył i czegoś uśmiechnął.

Polska ma taką ziemię. Niewielką, ale ma. W ostatnim zakątku swoim, u podnóża zachodniego krańca Beskidów. Jest nią ziemia cieszyńska i pszczyńska.

Od południa zamknięta ona przed sąsiadem miękka, łagodną, a wyniosłą ścianą Beskidów. Od Klimczoka poprzez Stołów, Baranią — rodzicielkę Wisły i Olzy — potem od Czantorii przez Stożek aż po Kozubową i Jaworowy idą sznurem zielone grania, skąd już bliżej Boga się wydaje. Kiedy człowiek na którymś z nich stanie i słucha, wtedy ucisza się w nim serce, jak dziecko u matki, i dobrze mu. Urzeczzone oczy zaś lecą w zamyśleniu w dalekie, rozfałowane doliny Olzy czy Wisły, tak lecą, jakby te ptaki stęsknione, śpiące w rodzinne gniazdstwa. Pod spojrzeniem rozkłada się ogromną przestrzeń, kryształem po wierzch napełniona, na kraj świata w słoneczku idąca, a gdy zamknąć oczy, pod powiekami wynurza się wtórny obraz urodzivej ziemi, w sercu zaś radość wykwita.

I czy w lecie, czy w zimie, z wiosną czy na jesieni, zawsze spojrzenie ludzkie napotyka na jej krasę.

Pobok Czantorii wgłąb rozwartej naścieżaj doliny snuje się wąski, srebrzysty paseczek Wisły, łuszczy się rozsianym złotem słonecznika, przewija miękko między wzgórzami i kępami, znika na drobnią chwilę, potem nowu wycieknie srebrem i bieży i bieży, aż w tamtej mglistości pod niebem utonie. Środkiem jej pomiędzy olszynami przelewa się ciemnawa woda Olzy, świętej rzeki śląskiej, przez poetów umiłowanej, w pieśniach sławionej.

Po obu stronach Wisły i Olzy schodzą ze wzgórz łąki i pola. Wydają się z miękkiego atlasu utkane. Leci przez wzgórza i doliny, bieli się w słońcu, czasem spętlą się w gruby węzeł. Czasem ponad rzeką czarnym mostem przebieży, czasem jej w drodze towarzyszy, potem znowu w bok zawróci, potok jeden i drugi przeskoczy i za widnokregiem gaśnie. W pogodny dzień ponad gęstwą zielonych kęp wspina się jedna i druga i dziesiąta wieża kościelna, od przyciesi aż po kalenice z jodłowego drzewa zmajstrowana. A koło kościoła domki białe, jakoby paciorki jasne od niechcenia hojną dłonią po wzgórzach rozsiane.

W nich to się rodzi ta przedziwna twarda moc ślązacza.

Czasem jakieś miasto można dojrzeć z wyniosłych groni beskidzkich. Malutkie domki na gromadkę zgarnięte; w środku w równy czworoboczek wybrane — to rynek. A potem, jakby ktoś palcem w ich mrowiu przejechał: raz tak potem zaś owak, na krzyż, na wspak i ulice gotowe. Ponad ich zbiegowiskiem senne dymy w powietrzu, przejrzyste, fioletowe i znowu jedna i druga wieżycza z unurzonym w słońcu krzyżem. Tam wyżej jeszcze, ponad wieżycami i nikłymi dymami słodka cisza podniebna.

A jeżeli zejść z groni w tamte doliny i pójść, gdzie oczy poniosą, spotykają cię co krok nowe uradowania. Pobok ścieżyn górskich napotykasz święte źródelka. Z pod zwalistego kamienia z szczerbatej szczeliny lub z kępy olbrzymich paproci sączy się struga dzwonią-

cej wody w podłożone koryto drewniane z jednego pnia wydłubane. A w powierzchniach wód przegląda się zielone sklepienie drzew, na dnie zaś gmerają złociste pętelki połuskanego złota. Woda jest zimna i przynosząca zdrowie, bo gdy ją pijesz — myślisz, że płynne słońce pijesz. Gdy zejdziesz w doliny, mijasz wsie przeróżne o nazwach od piastowego pomyslenia się wywodzących, a brzmiących w wymawianiu, jak dzwon ze starego złota. Mijasz ustronia, rozkosz dla żrenic zdziwionych, ze wzgórz patrzysz i widzisz, jak ziemia nie spoczywa, lecz płynie w łagodnych, miękkich, obłych zgięciach.

Ziemia spływa coraz wolniej za Wisłą, wygładza się, ucisza, przemienia w równinę, gdzie wody w Wiśle i potokach leniwieją, a z pomiędzy gęstwy szuwarów wychylają się śpiące stawy i rozlewiska, poprzegradzane starymi groblami i starymi dębami. Człowiek pracowicie osuszył tutejsze moczary, pozamieniał w pola zboże i ziemniaki rodzące, poodgradzał wielkimi lasami szpilkowymi, w których niedobitki żubrów przytułek znalazły.

Śląsk zielony, a zwłaszcza Beskidy śląskie stanowią płuca olbrzymiego okręgu przemysłowego, Śląska Czarnego. Gdzieżby człowiek mógł się schronić w wolną chwilę przed tymi dymami i sadzą, jak nie do Beskidów? Nadejdzie niedziela i święto, a zaroją się asfaltowe drogi i szosy śpieszącymi samochodami i motocyklami, przeludniają się pociągi, zmierzające w kierunku omglonych z lekka groni beskidzkich, a same gronie wszystkie ścieżyny górskie, między wąziutkie i doliny Białej i Czarnej Wisłki zamieniają się jakoby w odпустowe drogi, którymi wędrują niedzielni pątnicy. Ciche lasy Równicy, Czantorii, Stożka, Baraniej i Klimczoka, wypełniają się po wierzch twardym kanciastym gwarem Górnoślązaków, schroniska na szczytach krzyczą daleko śpiewem i splątaniem nawoływaniem się turystów, niefrasobliwymi śmiechami i baraszkowaniem o dziecinnej jakiejś naiwności i prostocie. Beskidy — to jedno wielkie uzdrowisko dla nerwów ludzkich, wyczerpanych zawrotnym tempem fabryk i dla płuc, zduszonych dymem i czadem, i dla serca, wyjąławanego twardymi warunkami pracy.

A kiedy śnieg spadnie i wszystkie tamte szlaki turystyczne zasypie wysoko, drzewa zaś ubierze w czapate płachcie i zsypujące się szrony, kiedy cały ten podniebny obszar zamieni się w jakąś baśń o szklanej górze, w ogród zaczarowany, w którym jeno ciska dzwoni. a słońce skrzy się mrowiem migotliwych łuseczek — wówczas po skłonach górskich i groniach błakają się rozradowane gromady narcarzy. Leci taki powicher jeden i drugi na wąziutkich deskach, kraje śnieg w zwiewne koleiny, sunie w dolinę na złamanie karku, skacze, zawraca w kunsztownym łuku, wspina się z powrotem pod słońce, a suchy śnieg dzwoni z lekka pod nartami; czerstwe, mroźne, żywica pachnące powietrze syci łakome płuca, oczy zaś, urzeczone doostatka krasą beskidzkiej zimy, skrzą się z lekka przymrużone, maluchnymi żywymi drobinami słońca.

Dawniej Beskidy były nieznanne. Obecnie zbudowano kolej do Wisły i do świata ją przybliżono. Kolej wspina się powoli, krok za krokiem, na wysoką przełęcz Kubalonki, żeby z niej do najpiękniejszej doliny na świecie, do słonecznej Istebnej polecieć.

Zbudowano najpiękniejszą drogę w Polsce, równą, gładką, która od Katowic bieży przez Ustron i Wisłę, potem w cudacznych.

a wdzięcznych pętlach wylatuje na gronia, a następnie spada już łagodnie do Istebnej, żeby dotrzeć do Koniakowa.

Na zboczach Zadniego Gronia, któredy się na Baranią idzie, szarzy się nadobny pałacyk Pana Prezydenta, zbudowany na miejscu spalonego drewnianego zameczka, dawniej arcyksięcia Fryderyka. Roztomiały a dostojny Gość lubi wracać do niego na odpoczynek, gdyż i jego urzekły Beskidy swym czarem.

GUSTAW MORCINEK

Z „KSIĄG NARODU POLSKIEGO I PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO”

Niech każdy składa talent swój Ojczyźnie, jako dar w skarbonę tajemnie, i nie mówiąc, wiele złożył. Przyjdzie czas, że się skarbona napęlni, a Pan Bóg zapisuje, ile każdy złożył.

Ale jeśli chwalić się będziecie, iż tyle, a tyle złożyliście, tedy wyśmieją was ludzie i poznają, żeście dawali talent wasz tylko dla chwały.

Zasługa dla Ojczyzny jest jako proch.

Kto proch szeroko rozsypuje i podpali, zrobi mały błysk bez mocy i huku i skutku.

Ale kto proch zakopie głęboko, i podpali tedy wyróci ziemię i mur z hukiem i skutkiem, a ludzie mówić będą: zaiste było tam wiele prochu; chociaż było niewiele, ale w zakopaniu głębokim.

Przetoż i zasługa głęboko schowana pokaże się sławnie; a kto ją tak schowa, że się na tym świecie nigdy nie pokaże, tedy ukaże się w wieczności, i huk jej będzie nieskończony i blask jej nigdy niegasnący i skutek jej na wieki.

Zasługa dla Ojczyzny jest jako ziarno: kto obnosi to ziarno w rękę, i wszystkim pokazuje wołając: oto jest ziarno wielkie, tedy wysuszy je i nic z niego nie otrzyma.

A kto zakopie ziarno w ziemię, a czeka cierpliwie kilka tygodni, tedy ziarno wyda roślinę.

Ale kto schowa ziarno w kłosie na rok przyszedł, na życie przyszedł; ten otrzyma ziarno sto, a z tych stu tysięcy tysięcy.

A przeto, im kto dłużej czeka nagrody, tym większą weźmie; a kto jej tu nie weźmie, tam weźmie największą.

A cóż mówić o ludziach, którzy skarżą się mówiąc: Walczni byliśmy, a nie mamy starszeństwa i znaku? A czyż

walczyliśmy dla starszeństwa i znaku? Kto dla starszeństwa i znaku walczy, niech idzie do Moskale.

A cóż mówić o ludziach, którzy skarżą się, mówiąc: oto ten, który stoi na prawo, łękliwy jest, a wziął znak: oto ten, który stoi na lewo, niemądry jest, a wziął starszeństwo? A czyliż żołnierz dobry, biegąc na nieprzyjaciela ogląda się na prawo, na lewo? Nie ogląda się, ale naprzód idzie. Bo kto ogląda się na prawo i na lewo, tchórz jest. Oglądać się i oglądać, jest rzecz naczelnika.

A cóż mówić o ludziach, którzy skarżą się mówiąc: naczelnik nasz pomylił się, dając znaki, wybierając na starszeństwo ludzi złych. Bo widzi każdy łatwo wadę w naczelniku, a nie widzi przymiotu; i widzi zasię w sobie przymiot, a nie widzi wady. A często to dobre, które jest w naczelniku potrzebniejsze jest dla dobra Narodu, niżeli to dobre, które w nas jest.

Alboż nie wiecie, iż C h r y s t u s B ó g, wybrał między dwunastu Apostołów jednego zdrajcę; tedy naczelnik człowiek, jeśli między dwunastu wybierze pięciu złych do urzędu, i do znaku, doskonały jest.

A między Apostołami Jan Święty był najwięcej kochany, chociaż najmłodszy i nie miał żadnego osobnego urzędu; ani był namiestnikiem jak Piotr; ani przeznaczony do powołania narodów jak Paweł, ani podskarbin, jak Judasz.

A przecież Jan jeden przepowiedział przyszłość w Apokalipsie, i nazwany jest Orłem i koniec Jego tajemniczy jest i dotąd wielu myśli, iż on nie umarł, ale dotąd żyje: a tego nie myślą o żadnym Apostole.

Otóż widzicie, iż zasługa bez urzędu stała się okazalszą na wieki.

ADAM MICKIEWICZ

ANTONI SŁONIMSKI

PIEŚŃ GÓRNIKÓW

Węgla czarnego sześciany
Wrywamy ziemi zazdrosnej
W sztolniach, w kopalniach o ściany
Dzwonią żelaza żałosne.

*Ziemię musimy ryc czarną,
W wiecznym pośpiechu pracy:
Maszyny wołają pokarmu
Syren fabrycznych płaczem.*

*Rozwożą po morzach i ziemi
W windach, lewarach, parowcach,
Wydobyty rękami naszymi
Węgiel z Katowic, z Sosnowca.*

*Światło, co świeci na stole,
Ciepło dzieciennych pokoi
Niech wspomni ci, chłopcze, niedolę
Naszego trudu i znoju.*

*Ukryci w mroku podziemi,
Nie znamy słońca uśmiechu,
Wiatru, co szumi nad nami,
Traw pachnącego oddechu.*

*Czy słyszysz te dźwięki stłumione?
Pod ziemią, jak żywej krwi tętna,
Praca cierpliwa, namiętła
Uderza, jak serce zmęczone.*

*Jak wielu ludzi poniosło
Ten długi i ciężki trud,
Ażebyś ty mógł wyrosnąć
I pracą spłacić swój dług!*

*Znad książek i podręczników,
Wzniesź głowę, aby pomyśleć
O czarnych rękach górników,
które masz kiedyś ucisnąć.*

BISMARCK A POLSKA ŚWIADOMOŚĆ NARODOWA

... gwałcąc na każdym kroku te mimowolne uczucia każdego Polaka i poniewierając najdroższymi naszymi instynktami, Bismarck wywołuje reakcję patriotyczną potężniejszą od największego ucisku, który wyrzucił jest w stanie, i rozbudza świadomość narodową i po-

czucie obowiązku narodowego nawet tam, gdzie już od wieków uśpione były i tym samym staje się w istocie naszym najskuteczniejszym sprzymierzeńcem.

Jak istnemu Konradowi Wallenrodowi, wszystko co się od dwudziestu lat w Prusach ku wzmocnieniu naszej narodowości wydarzyło, mamy do zawdzięczenia nie naszym usiłowaniom, ale jemu i tylko jemu. Kto rozbudził poczucie narodowe na Śląsku do tego stopnia, że teraz już z pewnością ogarnie całość ludu polskiego, tej prastarej dzielnicy Piastów, jeżeli nie Bismarck swoimi prawami kościelnymi i walką kulturalną? Kto się najwięcej przyczynił do spotężnienia mieszczaństwa w Poznańskim, tak że z nielicznych jednostek bez znaczenia i wpływu, stan średni teraz się staje główną falangą naszą w walce z germanizmem, jeżeli nie Bismarck, który Polakom wręcz zamknął karierę urzędniczą, do której tak są nadmiernie pochoptni, i zmusił ich do imania się przemysłu i handlu, jako ostatecznych środków wyratowania się od nędzy i wyginięcia? Kto apostołuje z ewangelii polskości u Mazurów protestanckich w Prusach Wschodnich, jeżeli nie ten sam Bismarck, **prześladując ich język ojczysty**, w którym do niedawna chwalili Boga na niebie a Hohenzollerów na ziemi, a o którym się teraz dowiadują, że jest **znamieniem zbrodniczym, które skazuje nieszczęśliwe istoty, na chowanie przezeń, na wykluczenie z pod prawa narodów i na wydalenie jako trędowatych lub zarażonych**. Zapomnieli Prusacy naukę ich własnego Herdera, że kto ludowi wydiera jego język, ten się staje mordercą jego ducha, moralności, chwały i wszelkich dążeń szlachetniejszych.

Jeszcze większy dług wdzięczności winniśmy Bismarckowi za jego niezachwianą wiarę w siłę i żywotność naszego narodu. My sami zwątpili, ale Bismarck wiedziony przecuciem nienawiści, równie nieomylnym jak przecucie miłości, odgaduje iskry pod popiołem i drży, żeby się znowu w płomień nie roznieciła. Ten kanclerz najpotężniejszego mocarstwa w Europie, przed którym korzą się króle i narody, śledzi z natężoną uwagą każdy objaw zatajonego życia narodu, wykreślonego z karty Europy, i który już nawet nie jest tym, czym Włochy w czasach największego upadku zawsze jeszcze były, t. j. terminem geograficznym. Wobec potomków rycerzy z pod Grunwaldu i wspaniałomyślnych mężów stanu, którzy za Jagiellonów uszanowali niepodległość zdradzieckiego lennika — zapomina on o całej swej potędze i świetności i czuje obrażoną dumę i próżność dawnego krzyżaka, któremu nawet wspomnieć nie wolno o jego niedgdyś poniżeniu. Herodot opowiada o powstaniu niewolników scytyjskich, którzy mężnie walczyli o swoją wolność, dopóki panowie nie wyszli naprzeciwko nim, uzbrojeni nie w broń, ale w baty, przed którymi, z dawnego przyzwyczajenia, niewolnicy zaraz struchleli. Czym trzask bicia dla zbuntowanego niewolnika, tym dla spanoszonego Prusaka zdaje się 'być odgłos rogów litewskich. Dlatego Bismarck zakazuje „Grażynę“ i nakłada grzywnę na drukarza, ażeby przypadkiem echo przeszłości, zmarłych znowu do życia nie ocuciło. — Drobny taki fakt lepiej maluje usposobienie, jak ważne jakie edykta polityczne, bo namacalnie pokazuje zaślepienie i rozjątrzenie, które nie jest w stanie opamiętać się, że zakaz poematu polskiego o wypadkach, które się wydarzyły przed pięćset laty, przecież

historii nie zmienia, — i że każdy, któremu z rąk wytrącają Mickiewicz, w niemieckim Herderze równie dobrze może wyczytać, że żaden lud nie był bardziej nielitościwie wytopiony jak dawni Prusacy i że żaden kraj nie był rządzony z większą arogancją i uciskiem, jak brzegi morza Bałtyckiego przez wyuzdane i rozpasane krzyżactwo. Jak najmniejsza słomka pokazuje skąd wiatr wieje, tak drobny fakt tego rodzaju pokazuje, że Bismarck nienawidzi Polskę, jak się tylko tych nienawidzi, którym się śmiertelną krzywdę wyrządziło; nienawidzi jako wcielony wyrzut sumienia, wiecznie natrętny, wiecznie gryzący. — Nie dość mu, że ofiara pokonana, chciałby pamiętać o niej zatracić w oczekiwaniu, że własne sumienie przygłuszy.

Głos to sumienia, że minister właśnie tego kraju, którego rząd pierwszy podał myśl podziału Polski, nie może się zdobyć na tę wiarę, że to co polityka od stu lat dokonała, jest nieodwołalne — ale podejrzewa, że **podzielono nie trupa, ale żywe ciało**. Jego zmysłom, zaostrzonym przez trwogę widoczne jest, że rany podziału po stu latach nie zabiły się, ale ukazują się niezagojone, krwawe, i przy lada sposobności dążące na powrót do zrośnięcia. Jak Makbetowi duch Banka, tak jemu okazuje się najniespodziewaniej — we Francji, w Rzymie, w Afryce, w Kraszewskim umierającym, w Czackim i Ledóchowskim, w Rogozińskim, wszędzie, **mara Polski**, krzyżuje jego zamiary . . .

Podczas gdy my sami, zawiedzeni już tak często w naszych oczekiwaniach, nie mieliśmy odwagi i zaufania, ażeby dostrzec tę jutrenkę, zapowiadającą nowy okres naszej historii narodowej, Bismarck, ten nieublagany mąż stanu, liczący się tylko z faktami, jest pierwszy, który nam daje świadectwo odrodzenia narodowego. Co przed czterdziestu laty jeszcze było marzeniem, mrzonką, cudem, już jest faktem.

„Jeden tylko — jeden cud, z szlachtą polską polski lud“.

Od chwili, w której Bismarck wymierzył swój ukaz nie przeciw szlachcie, nie przeciw księżom, lub agitatorom politycznym, ale **przeciw wszystkim osobom polskiego pochodzenia, wszelkich stanów i religii**, przyznał się, że ma do walczenia z narodem jednolitym, **przejętym jednym duchem narodowym**, i zadał kłam fałszerstwu historycznemu, które od stu lat usprawiedliwiała podział Polski doktryną, że podział ten był dobrodziejstwem dla ludu wyzwolonego od tyranii szlachty i że późniejsze niepokoje i powstania były to tylko usiłowania kasty ukróćconej w swoich przywilejach i dążącej do odzyskania dawnej władzy. Mamy teraz świadectwo Bismarcka, że ta doktryna jest tylko fałszem i hipokryzją. Dlatego też, ten sam edykt wygnaćcy, który miał dobić nasze nadzieje przez uwidocznienie naszego odosobnienia w Europie i naszej bezsilności wobec gwałtu, wręcz przeciwnie, **podzielał jako pobudka przebudzająca siły narodowe z dwudziestoletniej apatii**. Nowa otucha wstąpiła w naród polski. **Pomimo całej grozy tylu ofiar niewinnych, bezlitośnie pozbawionych chleba i bytu**, pierwszym naszym uczuciem była nie litość nad ofiarami, nie oburzenie na gwałt, a tym mniej zrozpaczenie i uznanie niemożliwości dalszego oporu, ale uczucie tryumfu, że

posiadamy świadectwo odrodzenia się narodu, świadectwo, że wszyscy Polacy, każdego stanu i wyznania, są równie niebezpieczni. Wobec świadectwa ze strony tak wielkiego męża stanu wszyscy zwątpiali i małoduszni w naszym własnym gronie, musieli od razu przycichnąć. Im bardziej nieubłagane jest prześladowanie, na które jesteśmy wystawieni, tym głębszym nasze przekonanie, że jakaś niezmiernie ważna misja dziejowa musi być związana z losami naszego narodu i że ta misja może i musi zwyciężyć.

STANISŁAW SZCZEPANOWSKI*)

PISARZE POLSCY O NIEMCACH

...Zakon Niemiecki... ten Microcosmus Niemiec, to była rzeczywistość kwintesencja wszystkiego złego, które nurtuje Niemcy w całych dziejach tego narodu; był to... zbiorowy epigon, duchowy spadkobierca margrabiego Geron a i podobnych mu saskich marchionów X stulecia, bałwochwalczy czciciel pogańskiej siły, niszczyciel depcący najbrutalniej wszystkie prawa Boskie i ludzkie... skupiał się w nim przez wieki kwiat rycerstwa aus allen deutschen Gauen. Jakoż nie sami tylko spadkobiercy Geron a mieścili się w jego zastępach... Tylko, że Jungingenów było zawsze nierównie więcej, bo ich wyrabiała już sama tradycja krzyżacka, przesycona zapachem krwi, którą przełano w rzezi wytopionych Prusaków, i swędem pogorzeli spokojnych siół kujawskich. Ta tradycja dawała zawsze przewagę rycerzom i komturom, których żywiołem była pożoga i zniszczenie. Coś pogańskiego, demonicznego rozpanoszyło się w Zakonie pod osłoną białego płaszcza z ponurem, czarnym krzyżem. Kto wie, czy ten prąd zgubny, antychrześcijański nie miał źródła w widnokręgach Hermana Salzy... Serdecznego przecież przyjaciela tego monarchy, który to mianem największych oszustów świata piętnował Mahometa, Mojżesza i — Chrystusa.

STANISŁAW SMOLKA

Twórczość i idący za nią duch asymilacji nie były nigdy właściwością germańskiego ducha... Ferment germański... okazał zaborczością tęgość za granicami swoich siedzib... Wielkich mężów stanu nie wydał duch germański, płodny on był za to w zaborczych despotach i służbistych urzędników... Ów szczyt „der staatlichen Entwicklung“ widzieć musieliśmy chyba w łatwości, jaką Niemcy wobec rządzących okazywać zwykli, w giętkości, z jaką wkładać się umieli w stosunki innych państw i narodów przymiotach które Heine nazwał sardonicznie :Die alte Treue der Pudel.

JÓZEF SZUJSKI

*) Z uwag „Walka narodu polskiego o byt“, (Lwów 1903). Uwagi te spowodowane zostały dwoma rozporządzeniami Bismarcka z r. 1885, na mocy których usunięto z Prus kilkadziesiąt tysięcy Polaków, poddanych austriackich i rosyjskich.

...Dziś idzie Niemcom przeważnie o wytwarzanie, nie charakterów prawnych, ale jednostek społecznych, silnych, praktycznych... nie oglądających się na żadne przeszkody... umiejących się dobrze narzucić i dobrze sprzedąć społeczeństwu, z jak największą — co prawda — dla niego korzyścią... dąży się głównie do takiego ukształtowania egoizmu, aby go jaknajlepiej uzdolnić do stosowania z bliźnimi walki o byt. Zniżona skala wymagań poprzestaje dziś na wychowywaniu istot społecznych, żyjących na ziemi i dla ziemi, dla dążeń, trosk, walk i triumfów, które grób kończy i grób pochłania, nic dla bytu dalszego nie zostawiając.

...Duch niemiecki, niegdyś niezaprzeczonego piastuna ludzkości, upajający ją winem z platońskiej czary marzeń, dziś sam zaprzęga się do wozu rzeczywistości skończonej, ograniczonej, posiadającej taki tylko widnokrąg, jaki jej nadadzą interesa i namiętności jednostkowe.

...Niemcy są dziś na drodze do materializmu... Nasyceni w r. 1870/1 triumfami nad Francją, nie czują już żadnego duchowego głodu; ideałów nie pragną... Jedynym ich ideałem jest dziś porządkowanie społeczeństwa — praca mechaniczna, spełniana przez państwo.

STANISŁAW KRZEMIŃSKI

MYSŁI O POLSCE ZACHODNIEJ

I. *)

W pewnym stanowisku wojennym około Góry nad Notecią spotkali się nieoczekiwanie dwaj przyjaciele z lat szkolnych, January Pawłowiak i Henryk Zboszyński. Cztery lata wojenne rozdzieliły ich zupełnie. Los zdarzył, iż, pomimo nieustannych wędrówek z frontu „zachodniego“ na „wschodni“, a ze „wschodniego“ na południe, ni razu się nie spotkali. Dopiero tutaj, nad Notecią po zdobyciu Żnina, Szubina, Łabiszyna w „armii wielkopolskiej“, tenże los rzucił ich znienacka we wzajemne uściski. Z niedowierzaniem patrzyli na siebie. Z radością stwierdzali, że ich oczy nie mylą. Raz wraz wybuchali śmiechem, wskazując sobie takie lub owakie objawy tej narodowej wojny z Prusakami. Oto oni, dwaj oficerowie niemieccy, prowadzą wojnę z Prusakami! Dawno ją — do licha! — piastowali w duszach. Idą na Nakło! Idą na północ! Ku morzu! W ciągu kilku dni opanowana jest Września, Gniezno, Biedrusko, Srem, Smigiel, Wągrowiec, Krotoszyn, Kościan, Jarocin, Ostrów, Mogilno, Żnin, Rogoźno. Całe Księstwo uchwyciło się hasła, danego z Poznania. Czekano na nie cierpliwie, z utęsknieniem, z zapartym oddechem. Cóż dziwnego, że rozbijanie Niemców dokonało się wszędzie, jak jeden odruch wydanej po prusku żelaznej komendy. Sprawa była prosta, gdzie garnizon składał się z polskiej większości. Gdzie, jak w gnieźnieńskim, Niemcy przeważali, trzeba było na zdziechowieckim polu walkę staczać i dopiero po walnym zwycięstwie władzę polską wdrażać. Pawłowiak i Zboszyński nie mogli się o tym wszystkim

*) Z „Wiatru od morza“.

dość nagać. Nie mieli wiele czasu na opowieści długie i szerokie o sobie. Zresztą, w ciągu tych lat przywykli w szkole prusko-wojskowej do szybkiego wyrażania myśli, do zamykania w jednym słowie wypraw olbrzymich, w jednym zdaniu walk strasznych, w jednym westchnieniu potwornych ogromów wydarzeń. Któżby, zaprawdę, potrafił to wszystko, co widzieli, co przeżyli, wyśłowić! Te niezmiernie masy żołnierzy, przewalające się kolejami, wędrujące piechotą, konno, wozami, autobusami, furgonami, na wschód i zachód, na pola słodkiej Francji, w doliny południowe Alp włoskich, w równiny Rumunii, w góry Serbii, Bułgarii i Turcji, w bezdroża Polski dalekie — dalekie? Dość powiedzieć: „Morthomme”. Alboż to nie wystarczy za opis pięter trupów, fetoru strasliwych grobów pospólnych, potarganych drzew, które płaczą w pustyni, rzek, co płyną jako pasma żalu przez kraj nieszczęśliwy, kamieni i ziemi, wyrzucanych z legowisk, na których miejscu spoczęły poszarpane strzepy obrońców? Dość powiedzieć: poprzez ulice zdruzgotanego Kalisza przemarsz polskiego młodzieńca, poznaniaka, Henryka Zbroszyńskiego, w szeregach armii niemieckiej. Z przymkniętą powieką, z zaciśniętymi zębami, w milczeniu. Dość powiedzieć: celować, strzelać, zabijać tych, których się uwielbia, szkodzić tym, komu się z serca dobrze żyć, nękać prześladowaniem tych, komu chciałoby się nieba przychylić! Byłaż kiedy na ziemi nikczemniejsza tortura, jak pod przymusem śmierci kazać ludziom w wieku rozkwitłej młodości nadstawiać piersi, wydawać się na kalectwo i rany, w każdej chwili na śmierć być gotowym za sprawę, której oni najgłębiej, z dna duszy nienawidzą?

O tym właśnie dwaj przyjaciele na postoju pomiędzy sobą mówili. Pawłowiak przypominał sam początek wojny, wejście Prusaków do Krakowa. Nigdy przedtem tego miasta nie widział. Wtedy to miał naiwne, niemal dziecięce w swej istocie, a najboleśniejsze co do siły, odczucie strasliwej nieprawdy, hańby i zbrodni we wszystkim, co się działo, a do czego musiał ręki przykładać. Zwiedzał Wawel, stare kościoły, pamiątki. Wszystko to udręczyło mu duszę. Wyznawał teraz koledze, iż tam, w Krakowie, nosił się z myślą o samobójstwie. Nie mógł znieść owych mdłych, głupich zestawień, które go prześladowały. Nikt go nie rozumiał. Co prawda, nikomu o tym, co w sobie przegryzał, nie mówił. Nie chciał za żadną cenę ginąć na polu bitwy za tę pruską sprawę i przyczyniać się swą śmiercią do pruskiego triumfu. A spełniać rozkazy, pomagać do zwycięstwa, wysługiwać się, jak pudel, pruskiemu kajzerowi, słać mu drogę do triumfu — tego nie mógł wymóc na sobie. Nie chciał! Jedno zostawało: zgładzić siebie samego, nikomu słowa swej duszy nie mówiąc. I obłąkany od tej myśli, chodził wybierając miejsce sposobne. Tak to zabrnął na błonia krakowskie, wszedł na wzgórze i patrzył na miasto, jesienną mgłą zasłane. Płakał. Wtedy coś w nim drgnęło. Usłyszał w sobie głos. Coś mu odpowiedziało: czekaj! Nie umiałby powiedzieć, ani wyjaśnić tego niezmiernego uczucia radości, jakiej wtedy doświadczył, tego światła o sile błogosławionej, które w nim objawiło sens rzeczy. Zdecydował się na tej górze, iż cierpliwie czeka. Och, i doczekał! Na zamku cesarskim w Berlinie powiewa czerwona chorągiew! Na zamku pustym po ucieczce tego wodza, który męstwo, miłość ojczyzny i samą nawet dumę monarchy przez

tyle lat udawał. Główny klucz twierdzy poznańskiej — zbrojownia — w ręku Polaków! Całe miasto Poznań w polskiej władzy. Z Kórnik, z Wrześni, nadchodzą kompanie pomocnicze. Rozbrojone są pociągi z urlopnikami i Grenzschutzem z Torunia i Wrocławia. Dworzec kolejowy obsadzony przez straż ludową. Domy, miasta, miasta cierpienia i hańby, ozdobione są narodowymi chorągwiami! Śmiał się z serdeczną radością Pawłowiak, opowiadając, co widział w Berlinie. Tłumi ludzi, setki tysięcy ludzi, zapelniających ulice i place. Wynurzyli się jak straszliwa zmora, z piwnic, ze strychów z sal fabrycznych, zawalonych opiłkami i strzępami, zalanych powietrzem zepsutym, zionących miazmatami, a usta miotają przekleństwa na tych właśnie, którzy jarzmo niewoli na karki polskie wtłoczyli. Byli to więc sojusznicy, byli to bracia rodzeni. — Rewolucja! — Ale w dobie tejże rewolucji Niemcy podejmowały ofensywę na Szubin, na Kcynię, od Nakła. Szły zdławić Poznań. Przedostawszy się za Notec pod Florentynowem po lodach, maszerowały w stronę Poznania. Brawurowe uderzenie Polaków wyrzuciło ich za Notec i odebrało im sześć armat, dwadzieścia karabinów maszynowych, kilka miotaczy min, wiele amunicji karabinowej i artyleryjskiej, rysztniek, tabory i konie. W dobie tejże rewolucji artyleria strzelała do Polaków trującymi pociskami gazowymi i miotaczami min, oraz kulami dum - dum stale. Pociągi pancerne, jak pod Wierchowicami i Rynarzewem, z armatami rewolwerowymi, miotaczami granatów i karabinami maszynowymi, usiływały raz wraz, to tu, to tam, wtargnąć w linie polskie. Pomiędzy Ujściem a Czarnkowem wypadał atak niemiecki, opanował wsie Węglewo, Jabłonkowo, Wałkowiec, Romanów, Osuch, nękać ludność polską i szerząc objawy przemocy, wypróbowane za czasów Kajzera na wszystkich „frontach” tej wojny.

Uderzenie polskie przepędzało Niemców za Notec, odbierało im karabiny maszynowe, miotacze min, i amunicję.

II.*)

Niewidzialnymi drogami, otworami tajemniczych porów wstępuje tegie zdrowie w ciało ojczyzny. Słońce i powietrze je karmi, wiatr je podpira, a niepojęta siła życia podwaja i potraja w każdej minucie siły. Rzeczywistość postępu polskiego tworzy się sama wszędzie na całej szerokości ojczyzny. Tworzą ją ludzie prości, niegłodzi, możnaby powiedzieć, pospolici, gdyby nie to, że owocność i pożyteczność ich pracy wynosi ich na czoło: nauczyciel, inżynier, majster, technik, żołnierz, policjant... Stwarza ją nieustępliwa, a zawsze ta sama praca uczonych, którzy z czterech końców świata zeszli się oto i w ciężkiej biedzie, zaiste proletariackiej, po swojemu budują. Rzesze mechaników, urzędników i robotników, w najtrudniejszych warunkach, gdy wszystko sprzysięga się przeciwko tworzeniu przedmiotów i wartości nowych, stwarzają je w sposób widoczny. Buduje się paliszcze i tworzy morską ostoja w Gdyni, pobięła kolej na Hel i na Śląsk, wkrótce wyjdą nasze własne lokomotywy z fabryk chrzanowskich, kłębią się dymy nad Łodzią i Warszawą.

*) Ze „Snobizmu i postępu”.

Któż kiedy zdoła wypowiedzieć poświęcenie Ślązaków, nie tylko powstańców, ale zwykłych kolejarzy, którzy swą pracę musieli wykonywać w walce z wrogiem! Gdy my wszyscy spokojnie w naszych domkach zasypiamy, polski policjant wychodzi na walkę nocną, na śmiertelny bój i wyścig z bandytą, ze strasliwym pomiotem wojny, dzikim skolimowskim zbójem. My, którzy żywymi oczyma patrzymy na ruszczenie i niemczenie dzieci polskich w szkole ludowej, którzyśmy sami przeszli ohydą szkołę rosyjską, oglądamy żywymi oczyma narodową szkołę wędrowni młodzieży po kraju, pielgrzymki jej do morza, do tych starych miast, polskich z prawieku, które wróg przez tyle lat dziedziczył — o czym, jako o ideale niezniszczalnym, marzyliśmy za dni młodzińszych. Na drogach ich staje przeszłość tysiącletnia, jakby wyłoniła się spod potopu wód, zawarta w odwiecznych katedrach, kościołach, zamkach. Rozkładają się przed nimi szlaki dalekie, prowadzące do dziedzin znanych, jakby ze snu: ziemia chełmińska i katedra w Chełmie, z jej dziką i strasliwą legendą, w której wszystko jest podstępem, zdradą, napaścią po nocy i krwawą rzezią, — zwałiska krzyżackiej warowni między dwoma jeziorami Sztumu, Grudziądz i biskupi Kwidzynie, Gniew i Toruń, po wtóre jak za Kazimierza Jagiellończyka, wydarty ze szponów wroga — Śląsk w przedziwnym zachowaniu piastowskiej mowy podobny do zamkowej kaplicy w Lublinie, mowy, której cudowność wyłania się spod niemczyzny, jak tamtej malowidło spod wapna — Malborg, w którego wnętrzu, dziedzińcach, grobach, krużgankach, salach i tajnych schodach czyha takie samo dziś, jak przed pięciuset laty, zakłète sprzysiężenie na Polskę. Malborg, którego kilkuset obywateli polskich wśród zalewu niemieckiego bohaterstwo głosowało podczas plebiscytu za należeniem do Polski — a w trakcie pisania tej pracy miejsce zjazdu wszechniemieckiego z udziałem korporacyj, młodzieży uniwersyteckiej i szkolnej dla obchodu uroczystości rocznicy rozbioru Polski. Na marienburskiej wieży dzwoni nieumilkły dzwon naszej zagłady. Walka na śmierć odmienna jest w formie, ale w treści swej ta sama. Czatowanie na nas Henryka von Plotze, dybanie na naszą zgubę Ulrycha von Jungingen jest bliskie i dzisiejsze. Te widma i dziś na nas godzą. „Gruba Berta” ustawiona w Szczytnie w ciągu paru pierwszych godzin pierwszego dnia po wypowiedzeniu nam wojny może zburzyć Warszawę, gdyż ta odległość wynosi sześćdziesiąt kilometrów. Ziemia mazurska jest nasza z krociami ludu, którzy mówią polską mową taką samą, jak w Płocku i na Kurpiach. To też hasłem każdej duszy, idącej szlakami Polski, czującej, młodej, świadomej, winno być hasło:

— Patrz w Szczytno!

STEFAN ŻEROMSKI

POLSKA A BAŁTYK *)

Wystarczy najpobieżniej rzucić okiem na historię rozwoju ludzkości, na ewolucję potęgi państw, na historię akumulacji bogactw, dobrobytu, wzrostu i nagromadzenia pomników kultury, by stwierdzić, że od zarania cywilizacji świata od pierwszych słów jego historii, wydobytej i wydobywanej wciąż z kopalisk kamiennych i dokumentów, **umiejętne i wytrwałe wyzyskanie morza i żegluga było czynnikiem twórczym, najbardziej podstawowym i decydującym.**

Starożytne Fenicja i Kartagina, starożytna Grecja i Rzym, a później Hiszpania i Portugalia, Wenecja i Genua, Dania, Holandia, Belgia, Francja, Niemcy, Anglia i Stany Zjednoczone, Japonia — to organizmy państwowe, które przez swą **świadomą, celową i wytrwałą pracę na morzu** wyrąbały granitowe drogowskazy w historii rozwoju ludzkości, które zaznaczyły swym rozwojem epoki postępu cywilizacji.

W Europie wokoło dwóch mórz narastały najpoważniejsze wypadki historyczne, zarówno w dziedzinie politycznej jak i gospodarczej. Pierwsze ośrodki cywilizacji — **morze Śródziemne**; drugi — to **Bałtyk**, wiążący się z historią związku hanzeatyckiego, z historią Danii, państw skandynawskich, walk krzyżacko - polskich, z narodzinami potęgi rosyjskiej.

W przeszłości historycznej i imię Polski nieraz się stawalo głośnie nad Bałtykiem. Były to rapsody historyczne, ale tylko epizodyczne, tylko chwilowe, **nieoparte na pracy wytrwałej**, choć nieraz niepozabawione waloru świadomości politycznej i historycznej tego zagadnienia.

Wzrok polityczny dawnej Polski kierował się głównie na wschód. Był to niewątpliwie błąd, gdyż źródła siły polskiej leżały i leżą zawsze na zachodzie, gdzie jedynie mogła powstać siła, zdolna do zabezpieczenia rubieży wschodnich. **Pokój**, zawarty przed 464 laty w **Toruniu**, oddał Polsce na przeciąg kilku wieków Pomorze z Gdańskiem, ziemię chełmińską i michałowską, Malborg, Sztum, Elbląg i Warmię, a więc **uczynił z niej państwo nadbałtyckie**. Cóż z tego, gdy już prawie dziewięć lat przedtem w przywileju kazimierzowskim Polska oddała Gdańskowi niejako monopol eksploatacji wybrzeża morskiego, choć morza — nie tylko pod grozą utraty wszelkich korzyści, ale nawet pod grozą zwrócenia jego przemóżnej potęgi przeciwko sobie samemu — ani w pacht oddać, ani wydzierzawić nie można!

„Błąd, popełniony przez Kazimierza Jagiellończyka, można było naprawić, ale brakło do tego silnej woli, energii, poparcia narodu i środków materialnych. Że tak się stało, że Polska nie mogła stworzyć potęgi morskiej, wiele różnych na to złożyło się powodów. Tkwiły one zarówno w charakterze narodowym, jak i w ogólnym położeniu geograficznym i w państwowo-społecznym ustroju” — pisze dr. Czołowski w swej pięknej książce pt. „Marynarka w Polsce”.

Nieświadomość ówczesnej warstwy rządzącej, że państwo, że jego

*) Z artykułu „Powrót Polski nad Bałtyk”, w książce zbiorowej „Obrona Pomorza”, (Toruń, 1930).

byt, rozwój i potęga tylko własnym wysiłkiem narodu mogą być utrzymane, wprowadziła zwyczaj przerzucania przy akcie elekcyjnym wielu ciężarów materialnych na króla - elektora. W rządzie tych postulatów znalazło się często i zagadnienie wyzyskania morza i stworzenia marynarki. Było to rzeczywiście **zbytne uproszczenie ciężącego na państwie obowiązku** w imię jego własnej racji stanu, by mogło wydać pozytywny rezultat tam zwłaszcza, gdzie decyduje wytrwałość. To też przebiegszy porywów morskich, podejmowanych zwykle dopiero w obliczu konieczności politycznych, bez odczucia gospodarczych wartości, związanych z eksploatacją morza, jak organizacja kaprów pod banderą królewsko - polską, jak próby budowy polskich portów w Elblągu, w Pucku i na Helu, jak zainteresowania morskie i Zygmunta Augusta i Henryka Walezjusza, i Stefana Batorego, i Władysława IV — nie pozostawiają po sobie trwalszych śladów, nawet w psychicznym nastawieniu społeczeństwa polskiego.

Drugim podstawowym błędem Polski historycznej było oddanie słowiańskiej ludności nadbałtyckiej na pastwę wynarodawiania. Przez całe stulecia — dawne i bliższe nam — odbywał się tam proces zacierania, kurczenia się, dławienia polskości ludu nadbałtyckiego. Warstwa panująca, zapatrzona egoistycznie w swój zawód rolniczy, podniesiona niejako do godności kapłanów, wydzielała miasta — we własnym państwie — z jednolitego organizmu narodowego. Nie one szukały tej odrębności, odrębność ta utrzymywana była przez sam ustrój państwowy.

Takim miastem był również Gdańsk, który — jak mówił w II połowie XVI w. na ratuszu gdańskim wojewoda Jan Sierakowski — „Polską zawždy stał, bez Polski obejść się nie mógł i nie może. Namj stoicie, nam żywicie!” Mimo to jednak — przeprowadzając przez Gdańsk olbrzymie bogactwa swe — Polska ani nie umiała, ani nie chciała organicznego, narodowego z nim zespolenia. Miasta te promieniowały wokół kulturą, a wobec sprawnej administracji i **dobrobytu narastającego z handlu morskiego** posiadały już same przez się olbrzymią siłę atrakcyjną dla ubogiej ludności nadbrzeżnej, o której los prawie nikt w Polsce nie dbał. Reszty dokonywała siła, stosowana z taką bezwzględną konsekwencją przez krzyżaków.

Czyż w tych warunkach w rezultacie z jednej strony **wiekowego braku wytrwałości, braku niezłomnej polityki morskiej, braku opieki nad wybrzeżem i jej ludnością ze strony polskiej**, a z drugiej strony wobec systematycznej akcji wynarodawiania, utrwalania swej potęgi i swej pracy nad Bałtykiem przez żywioł obcy, nie jest jak gdyby cudem, dowodem **głębokiej siły rasowej**, że przecież choć na małym skrawku kilkudziesięciu kilometrów wybrzeża ostał się **mocny żywioł polski**, który umożliwił powrót Polski do rodziny państw bałtyckich, nad polskie — jakże piękne i bezcenne — morze?

Tej prawdy istnienia silnego polskiego żywiołu na naszym wybrzeżu nikt kwestionować nie może. Wszystkie bezstronne, nawet niemieckie dokumenty ten fakt stwierdzają, a nawet stronnice, preparowane dla celów politycznych materiały raczej wskazują i biadają na niedokończony proces germanizacji polskiej ludności, tworzącej zwartą i mocną ławicę od wybrzeża ku najbardziej rdzennie polskim

ziemiom, niżby się odważyły zaprzeczyć temu faktowi. Dopiero po restytucji państwa polskiego szuka się dowodów odmienności plemiennej ludności pomorskiej, ludności wybrzeża. Ale ta akcja propagandowa nie tylko przeczy oczywistym faktom, ale nawet wielu naukowym źródłom niemieckim.

Niech mi wolno będzie tylko dla przykładu wybrać właśnie najmniej znaną pracę dr. Herm. Wünsche pt. „Studien auf der Halbinsel Heal“, przyjętą w r. 1903 przez wydział filozoficzno-historyczny uniwersytetu lipskiego na podstawie oceny wydziału jako pracę doktorską. W rozdziale p. t. „Nationalität“ na str. 45 autor twierdzi: „większa część ludności półwyspu, prawie trzy czwarte, jest polskiej narodowości“. Następnie autor opisuje, że ludność miejscowa czuje się obrażona, gdy się ją nazywa „kaszubską“ a w spisach urzędowych dokonanych w r. 1900 w wielu miejscowościach mieszkańcy zapisali się bez wyjątku jako „Polacy“, nie chcąc nic wiedzieć o narodowości „kaszubskiej“. W Wielkiej Wsi miało wówczas dojść do rozruchów, gdy nauczyciel i naczelnik gminy usiłowali zapisać ludność do ksiąg jako Kaszubów.

Dzięki patriotyzmowi i **wytrwałości** — nauczanej może pracą na morzu — **polskiej ludności nadbrzeżnej**, wróciliśmy przed dziesięciu laty na mocy prawa i sprawiedliwości dziejowej po raz trzeci na fale Bałtyku. Przyszliśmy z kapitałem większego uświadomienia o wartości morza, o obowiązku, który jego posiadanie na nas nakłada, niż kiedykolwiek przedtem. Ale wartość tego uświadomienia nie jest zasługą nas współczesnych. Jesteśmy bowiem i tu — jak we wielu innych dziedzinach życia państwowego — tylko wykonawcami wskazań, programu, postawionego nam w puściźnie przeszłości.

EUGENIUSZ KWIATKOWSKI

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

PIEŚŃ MARYNARZY

*W naszych żaglach zwiniętych śpi wielka marszruta,
W naszych masztach śpią skrzydła lotniejsze, niż ptak,
W naszych mapach śpi przestrzeń bezbrzeżnie rozsnuta,
Puls uderza w maszyny i gra poszum flag.*

*W naszych żaglach zwiniętych śpi wiatr, oddech świata,
Wiatr, co morza podnosi i rzuca na ląd:
Wieczny ruch, który w górze z podniebia wylata,
Niewidzialny, poczęty niewiedzą skąd.*

*Drobna igła kompasu jak z dłoni nam wróży
Nieomylny kierunek wśród pustki i wód,
Płyniemy poślubieni, jak Kolumb, podróży,
Ten sam nas duch prowadzi, który jęgo wiódł.*

*Prosto z zatoki Gdańskiej na Bałtyk i z fali,
Pełnej złotych bursztynów, bijącej o Hel,
Na morza, na Atlantyk — i dalej i dalej,
Niech z masztów naszych czerwien łopoce i biel!*

*Zegnajcie i witajcie, dalekie wybrzeża,
Sygnały portów, mola, panoramy miast!
Wiatr wyprawy nam sprzyja, puls równo uderza,
Syreny gwiżdżą w niebo na wyjazd i wjazd.*

*O, pozdrowione bądźcie morza, oceany
I lądy, których blady rozpierzcha się ślad!
Flota nasza pokłonem bandery rozwianej
Jak ojczyznę ogromną salutuje świat.*

GDĄSK A POLSKA *)

Koniec XVIII-go stulecia oznaczony był nowym wypadkiem, arcydoniosym dla dalszego rozwoju z obopólnych stosunków. Elektor saski, wikary Świętego Państwa Rzymskiego, najpierwszy po cesarzu książę Rzeszy, potomek jednego z najstarożytniejszych rodów praniemieckich, został królem polskim. Siedemdziesięcioletnie rządy saskie w Polsce, jakkolwiek w swoich skutkach oplakane i dla Saksonii i dla Rzplitej, musiały przecie sprzyjać nie pomалу kulturalnej wymianie polsko - niemieckiej. Istotnie, sama Saksonia wnet wydała obfitą literaturę o Polsce, przeważnie treści historycznej, prawoznawczej albo opisowej, zasilaną wprawdzie przez takich, jak Ranft albo Fassmann, ociężałych pedantów, lecz na ogół ludzi życziwych i uczciwych, którzy np., aczkolwiek Sasi, zdobywali się na apologię ex-króla Leszczyńskiego. Wtedy to także najbujniej zakwitło niemieckie o Polsce piśmiennictwo w starych Prusiech Królewskich. Zaczynają się z Wschowy, uczony Hartkonoch z Torunia, nade wszystko zaś znakomity Lengnich z Gdańska, a za nimi legion ostatnich, lecz pracowitych i dobrze myślących ludzi nauki i pióra, z nie małym pożytkiem w mowie niemieckiej zasługiwali się polskiej Rzplitej. Ci ludzie bardzo kochali swoją ściślejszą

*) Ze szkicu „Niemcy o Polsce“, „Wczasy historyczne“, (Warszawa, 1902).

ojczyznę, swoje Prusy, ale nie inaczej, jak Litwin wtedy kochał swoją Litwę, i nie inaczej też, nie mniej szczerze, oni już nauczylili się kochać swoją obszerniejszą ojczyznę polską. Nawet w Toruniu, pomimo nieszczęsnej sprawy za Augusta II, mocno zresztą rozdmuchniętej z umysłu przez sąsiadów, te uczucia patriotyczne przetrwały aż do końca. Najpiękniej atoli wyrosły i wyszlachetniały w starym Gdańsku. Gdańsk jeszcze za Batorego mocno rozprawił się z Koroną, ale odtąd ostatecznie został najwierniejszym jej sługą. Najlojalniej odtąd, w nacięższych potrzebach dziejowych, dotrzymał jej wiary. Zawczasu zamknęli wrota przed Szwedem rozważni Gdańszczanie, i kuszeni od niego, jeszcze od wielkiego Gustawa Adolfa, w imię germańskiej wspólności krwi i protestanckiej wspólności wyznania, do dobrowolnej zgody a zdrady, mocno i godnie powołali się na swoją przysięgę daną Najjaśniejszej Rzplitej, od której ani na religii, ani na wolności, ani na handlu nie znają krzywdy, zadeklarowali się dobrymi Polakami i dobre swoje miasto polskie ustrzegli od wspólnego nieprzyjaciela. Tak samo znowu po upływie stulecia skwapliwie w swoich murach udzielili schronienia wygnańcowi Leszczyńskiemu i kosztem krwi swojej i mienia bronili go do ostatka. I jeszcze pod sam koniec, po drugim podziale, do ostatka bronić będą wstępu pruskim wojskom Fryderyka Wilhelma II. Albowiem oni, starzy Prusacy polscy, najmocniej nienawidzą tych nowych Prusaków brandenburskich, których oni znają najlepiej. Dobrze oni pamiętają ów zbójcki napad nocny krzyżaków na ich miasto w początku XIV w., rzeź dziesięciu tysięcy bezbronných mieszczan, kobiet i dzieci, pożogę i jęki, domy i towary puszczone z dymem, mury z ziemią zrównane. A zarazem już w świeżej mają pamięci niesłychane nadużycia fiskalne, otwarty rozbój celny, dławiącą i chciwą rękę Fryderyka Wielkiego. Tym łatwiej przychodzi im przywiązać się do Rzplitej. Gdańsk, zachowując po dawnemu swoją staroświecką odrębność cywilizacyjną, której nikt w Polsce nie myślał tykać, ani gwałcić, jednocześnie duchem połączył się z Polską z własnego popędu. Już w połowie XVII w. ukazuje się tutaj gazeta w języku polskim. W XVIII w., za Sasów, piśmiennictwo gdańskie w rzeczach polskich, choć oczywiście przeważnie w języku niemieckim i łacińskim, rozrasta się nadzwyczajnie i cenne wydaje owoce. Zresztą w tym czasie z tłoczni gdańskich ukazuje się również sporo dobrych druków polskich. Lubili chwalić się wtedy Gdańszczanie, że w ich mieście mówi się i pisze najczystszą mową niemiecką i najlepszą polszczyzną. Wtedy także, z powodu trzechsetnego jubileuszu dobrowolnego przyłączenia Prus Królewskich do Rzplitej, oni to najgłośniej i najwymowniej pośpieszyli uwiecznić słowem i drukiem drogą dla nich rocznicę. Wszakże najpoważniejszy jest w tym okresie plon naukowy i pisarski jednego niepospolitogo Gdańszczanina, niezapomnianego Bogumiła Lengnicka. Wielki to uczony i wielki patriota polski. Kiedy wydawał pierwsze swoje dzieło „Die polnische Bibliothek“, na karcie tytułowej w tych słowach oznaczył miejsce wydania: „Tannenbergh, wo Vladislaus Jagyello die Creutz - Herren schlug“. Odtąd, długim szeregiem znakomitych badań historycznych i prawnych, zapisał swoje imię na najzaszczytniejszych kartach nauki polskiej. Jego „Polskie prawo publiczne“ stanowi, zdaniem naszym, po dziś dzień najdoskonalszy

i najprzejrzystszy obraz prawno - politycznego ustroju dawnej Rzplitej i stanowić powinno obowiązkową lekturę każdego dzisiejszego historyka polskiego.

SZYMON ASKENAZY

PISARZE POLSCY O NIEMCACH

Aby usprawiedliwić swe istnienie, trzeba mieć prócz pięści i chleba jeszcze jakąś ideę moralną. Potędze politycznej niemieckiej brak takich idei, a skutkiem tego rozkwit jej nie tylko nie leży w interesie ludzkości, ale jest z nią wprost sprzeczny.

Polip, którego całą racją bytu jest wysysanie cudzej krwi, stanowi nieszczeście dla otoczenia. I oto dlaczego Niemcy dzisiejsze budzą wszędzie i we wszystkich nienawiść. Jest to jedyny naród, który nie posiada ani jednego przyjaciela. A nie masz tak potężnego ludu, który, będąc przyczyną powszechnej niedoli mógłby się oprzeć powszechnej nienawiści... Tak stoi sprawa obecnie. Jaką przyszłość, nie podejmuję się przepowiadać. Zależać to będzie od tego, czy dusza niemiecka weźmie górę nad pruską, czy też odwrotnie.

HENRYK SIENKIEWICZ

Przez szybę sklepową wskazywał Berlin... Trzymał nad nim rękę, jak szpon suchą i groźną.

— To jest wielki wróg Błękitnej Królowej!

— Ona idzie ku nam, a przed nią rycerze jej... sieką mrok oporny, najeżony jadem i obłudą. I sieć będą, aż się mrok rozpadnie, aż to, co pruska potęga nazywa kulturą i postępem, stanie się wstydem i ohydą społeczeństwa. Gdy zapanuje Błękitna Królowa, wspominać będą potomne wieki okres hegemonii Prus jak najazd barbarzyńców na Rzym, jak wyniszczenie olimpijskiej rasy doryckiej przez handlującego kradzionym towarem Lewantyna.

JÓZEF WEYSSENHOFF

... z chwilą gdy wracamy do bogów plemiennych, gdy proklamuje się głośno ideę supremacji narodu i walki zbrodniczej, wielkie idee nauki Chrystusa tracą swe uzasadnienie, boć trudno głosić równość ludzi i zarazem wyższość własnej rasy czy narodu, nienawiść obcego i miłość bliźniego. Można wynajdować rozmaite środki i półśrodki, można być w pewnych godzinach dnia nacionalistą, w innych chrześcijaninem, można, co najczęściej, nie zdawać sobie sprawy z istotnej treści tych nauk, ale nie można w żaden sposób pogodzić prawdziwego chrystianizmu z konsekwentnym, dokładnie przemyślanym imperializmem. Jeżeli ktoś umie rzeczywiście wyciągnąć z imperializmu wszelkie logiczne konsekwencje, musi stać się poganinem... Chrześcijaństwo jest dla Niemiec nie do przyjęcia, zatracą ono germanizm i niszczy podstawy państwa; jest ono antyniemieckie w swojej istocie, skoro głosi miłość wroga, ustępliwość,

pokorę. Daleko wyższe wartości ma poganizm; Chrystusa zastąpić winien germański syn boży Donar, a krzyż Chrystusowy, symbol poddania się i śmierci na krzyżu, winien ustąpić przed młotem, symbolem siły i potęgi narodu.

J. ST. BYSTRON

ŚLĄSK OPOLSKI *1

Opowieść niniejsza dotyczy tego Śląska, o którym się najmniej wie, najrzadziej mówi. Bo mówiąc o Śląsku mamy zwykle na myśli kominy fabryczne, gdzie nawet śnieg biały staje się popielaty, albo uroki Wisły czy Istebnej. A jeśli Śląsk oddzielony — to chętniej za Ołę myśl biegnie niż na brzegi Odry. I zawsze raczej Czarny, raczej Zielony, niż tamten, najcichszy, najmniej się rozgłaszający — Biały, biało - zielony, Opolski.

Łatwo dostrzec, że jest to zamknięta dla siebie całość krajobrazowa. Szmata ziemi pomiędzy Górą św. Anny, Opolem, Toszkiem, Raciborzem na południu - wschodzie a lesistym Olesnem, historyczną Byczyną i Kluczborkiem na północy.

Biały rumosz wapienny nadaje cechę krajobrazowi, a zajęcia rolników bytujących od niepamięci na swych zagrodach uformowały odrębną postawę psychiczną Opolan, różniącą ich tak od mieszkańców Śląska fabrycznego, jak od istebniańskich górali. Inni ludzie, wiadomo: 1) pamponie, 2) kabzonie, 3) szymy — oto groźne w gwarze górniczej przezwiska mieszkańców Przyodrza.

Choć politycznie między trzy państwa rozdzielony, rejon śląski jest jeden, o tym pamiętamy. Zanim nad Odrę przywędrował człowiek, czyli zanim się tworzyć poczęła historia, już o tej jedności zdecydowała przyroda. Zamknięty Beskidem od południa, Jurą Krakowską od wschodu, Bramą Morawską i Sudetami od zachodu, stanowi Śląsk całość geograficzną, jak niewiele podobnych w Europie. O odrębności Śląska Opolskiego można mówić w tym tylko sensie, gdy się krainę rolniczą chce przeciwstawić zagłębiu kopalń, hut i martinowskich pieców. Mniej tu słupów z trupią główką („bacznosc, wysokie napięcie!“), więcej wolnego tempa w życiu i oskorupionej patriarchalności w obyczaju.

Starowieśniak opolski, świadom swych tytułów arystokrata tej ziemi, przypomina Polaka z dawnej Rzeczypospolitej. Ilekroć wędzie tam pod dach wiejskiej świetlicy — powita was równocześnie i szlachcic i mieszczanin i magnat i kміeć. Bo sam jeden już tylko pozostał gwoli reprezentacji szczepu, którego starość tak wyobraża, jak w pobliskim zakęcie innych kresów zachodnich, w zabytkowej gamie pentatonicznej żyje do dziś wieść o dawnej muzyce ludu.

Jeździ się po Opolszczyźnie wszcz i wzdłuż, wśród setki drewnianych kościołów, pośród baśni ginącej i pieśni ożywionej — jak po starobliwym rezerwacie mowy, obyczaju, temperamentu. I ogląda się w najczulszym zadziwieniu ten kresowy południowo - zachodni

*) Z książki „Na Śląsku Opolskim“.

splacheć macierzyzny, zamieszkały w tak przeważnej ilości przez autochtonów - Polaków.

A jest ich mało — wiele. Paręset tysięcy dusz w ogólnej, półtora-milionowej rzeszy Polaków w Niemczech. Zdaniem urzędowej statystyki niemieckiej ogłoszonej w r. 1934, ogólna liczba ludności polskiej w Niemczech wynosiła w r. 1925 — 1,062,738 dusz. Z tego na zgłiszczach Dolnego Śląska pod Brzegiem, Byczyną i Lignicą doliczono się zawsze jeszcze 15.057 Polaków (na ogólną liczbę 3.159.000 mieszkańców). Na Śląsku Opolskim natomiast (urzędowa nazwa O/S = Oberschlesien) na ogólną liczbę 1.372.000 dusz — 582.455 osób przyznało się do polskiego języka macierzystego, przy czym pominięto Polaków, którzy, kierowani oportunistycznym strachem, pozwolili się wpisać do rubryki niemieckiej. Nowszych danych nie ogłoszono do tej pory drukiem, z obliczeń państwowego urzędu statystycznego w Berlinie wynika jednak, że przyrost naturalny ludności Śląska Opolskiego przewyższa inne prowincje Trzeciej Rzeszy, wynosi bowiem 10.8 promille rocznie.

Są to Polacy najstarsi z wieku i najmłodsi z uświadomienia narodowego. W zasadzie nie sięga ono głębiej w przeszłość jak do trzeciego - czwartego pokolenia, a często bywa, że błysk świadomości polskiej i łączności z Macierzą olśnił ich dopiero wczoraj lub olśniewa dziś.

Ślązacy, stara łącznikowa gałązka szczepu naszego, budzili się w ogóle powoli. Ten proces nie jest ukończony.

Walka i udry nie dziwne od wieków tym najbliższym zakrańcom, o których wiemy tak niewiele. Sublokatorzy w swoim własnym kraju mają ciężką szarpaczkę z gospodarzem, który walczy z nimi na gruncie ustawy i dociska kędy może, tysiącem sposobików, okólnymi drogami, w szkole, na „odprawie” niemieckiej, w kościele, w urzędzie. Niemiec nie jest Czechem ani Litwinem. Przez tysiąc lat współzycia miał czas rozeznąć się w nawykach i słabościach dusz tubylczych, miał czas udoskonalić i wyostrzyć swe metody.

STANISŁAW WASYLEWSKI

P O L S K A

Gdy spojrzysz na mapę Europy, zobaczysz między Niemcami a Rosją kraj rozległy, od południa oparty o pasmo Karpat, na północ wyteżony dwoma ramionami ku brzegom Morza Bałtyckiego. Przypatrz się uważnie kształtowi tej ziemi: czyż nie wygląda, jakby opończa, jednym wąskim końcem uczepona brzegu morskiego, drugim wschodnim ramieniem wysunięta prawie po Dynaburg. Ta opończa tak wąsko do morza przyczepiona, o zachodnim krańcu nierównym, postrzępionym, na wschodzie lepiej wyrównana, to twój ojczysty kraj, ziemia twych ojców, dziadów, ziemia twego narodu, Polska.

Domyślam się, iż widząc kształt swej Ojczyzny na mapie, chcesz zaraz pytać:

— A dlaczego moja Ojczyzna jednym tylko ramieniem dotyka

brzegu? Dlaczego drugie ramię północno-wschodnie już nie styka się z morzem? Dlaczego zachodni skraj opończy jest taki poszarpany? Czy to zawsze tak było? Czy nie dało się inaczej urządzić granic mojej Ojczyzny?

Czy zawsze tak było? Nie. Ojczyzna nasza nie zawsze wyglądała, jak dzisiaj. Był czas, gdy była dwa razy większa od dzisiejszej; był czas, że skreślono ją zupełnie z mapy Europy. Zmiany te były wynikiem siły, albo słabości jakie zdołaliśmy tym obcym przeciwstawić.

Cieszysz się zapewne, gdy mówią o naszej sile, smucisz się jednak niewątpliwie, gdy wspominam o naszej słabości. Nie sądź jednak zbyt surowo swych przodków: długie ich pokolenia ofiarne i bohaterskie odrobiły winę słabości i walcząc z ościennym wrogiem przez prawie 150 lat, powróciły naszej Ojczyźnie jej rozmiar potężny i należną jej sławę.

Patrz na mapę: nie ma chyba okolicy granicznej, nie ma ważniejszego węzła dróg wewnątrz kraju, nie ma miasta, o któreby diawlowie i ojcowie nasi i my sami ludzie dzisiejsi i dzieci tych ludzi dzisiejszych nie walczyli z bronią w ręku.

Wybierz pierwsze lepsze miasto z mapy Polski. Posłuchaj, jakim historia jego dźwięczy bohaterstwem, spełnianym w ostatnich choćby latach. Lwów?! Ależ to obrona Lwowa, ależ to dzieci szkolne, biegnące pospołu z żołnierzami naszymi do walki.

Wilno?! Więc młodzież wileńska z narażeniem życia roznosząca amunicję po ulicach miasta oddziałom Marszałka Piłsudskiego. Żywiec, Katowice? To znów młodociani kurierzy powstańcy i wojacy pośpieszający z pomocą naszemu żołnierzowi w walce.

Warszawa?! To spiskowcy, Peowiacy, przygotowujący w roku 1918 nowe zastępy młodej armii polskiej. Kraków?! To rozbrojenie Austriaków w twierdzy krakowskiej przez Legionistów Piłsudskiego. Przemyśl?! To młode wojsko polskie, szturmujące przez długie mosty na Sanie prosto na ogień karabinów maszynowych. Co miasto, to pamiątka, co miejscowość — to wykwit młodego bohaterstwa.

Wiesz chyba, co znaczy, gdy wszędzie, gdzie wróg zagrozi, spotka się z oporem młodzieży. Znaczy to, że tradycja życia rodzinnego przepojona jest miłością Ojczyzny. Oraz, że rodzice wychowywali swe dzieci dla Ojczyzny i że te dzieci gotowe wszystko dla Niej zawsze poświęcić.

Jakiś mędrak, czy niedowiarek zapyta jednakże: czy warto? Czy warto poświęcać się dla Ojczyzny?

Nie gniewajmy się na mędrka i wytłumaczmy mu tę sprawę cierpliwie. Naród, który się nie poświęca dla Ojczyzny, traci ją wcześniej, czy później i staje się sługą, niewolnikiem innych narodów.

Stracić Ojczyznę?! Cóż może być okropniejszego! Zastanów że się tylko.

Oto Pomorze, kraina piękna, od piasków helskich idąca szumem coraz bujniejszej zieleni, płynąca coraz bujniejszym kłosem zboża ku łagodnym równinom wielkopolskim i ku Kujawom błękitnym. Dalej zaś na wschód, za Ostrołęką, Łomżą, położoną w zasobnych ziemiach, masz znowu lasy cudne, puszcze grające życiem rozmaitym, a już dalej od Nowogródka przez Wilno do Turmontu — jedno oczarowanie prześlicznej ziemi Mickiewicza.

A gdy znów pójdiesz wschodnią granicą ku południowi prosto, olśni cię tajemnicze, pełne rozblasku wód Polesie; a zaraz niżej Wołyń, rozfalowany, kwiecisty i śpiewny, po czym schodzisz ku południowi na ziemię tarnopolską, pełną przepięknych buków, dębów i złocistego blasku kukurydzy.

Jeżeliś się już do syta wywędrował po równinach, idziesz w góry. Od Kołomyi, Żabiego, potężnym pasmem Karpat maszerujesz aż do gniazda niebotycznych Tatr. Masz tu wszędzie przyrodę strzelistą, sosny, świerki i limby, kryjące pośród cienia swego ogromne bogactwa mineralne.

Od Tatr możesz dla wypoczynku zejść w dół, ku radosnej ziemi krakowskiej. Chodźmy razem w krakowskie, kieleckie, czy tarnowskie. Ujrzysz tu ziemię nasyconą wszędzie pracą przeszłości wielkiej: nad rzekami — zamczyska, a na górach — odwieczne klasztory.

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI

CYPRIAN NORWID

MOJA PIOSENKA

I.

*Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba
Podnoszą z ziemi przez uszanowanie
Dla darów nieba...*

Tęskno mi, Panie...

II.

*Do kraju tego, gdzie winą jest duża
Popsować gniazdo na gruszy bocianie,
Bo wszystkim służy...*

Tęskno mi, Panie...

III.

*Do kraju tego, gdzie pierwsze ukłony,
„Bądź pochwalony“...
Są jak odwieczne Chrystusa wyznanie:*

Tęskno mi, Panie...

**ALFABETYCZNY SKOROWIDZ PISARZY, POETÓW I PUBLI-
CYSTÓW, WYJĄTKI Z UTWORÓW KTÓRYCH ZAMIESZCZONE
ZOSTAŁY W NINIEJSZYM ZBIORKU**

(Czytelniku! — dołóż wszelkich starań, by zapoznać się bliżej i głębiej z utworami zarówno tych, jak i innych pisarzy polskich, w dziełach których odnajdziesz Kraj i Ziemię Twoją, spotkasz tę samą tęsknotę, która Ciebie napędza i znajdziesz tę samą wiarę w przyszłość Polski, która jest podstawą i Twojego życia, Twojego czynu. Pamiętaj, że literatura Twego Narodu jest wielka i wspaniała i że łatwiej Ci będzie znosić trudy tułaczki wojennej i myśleć o jutrze, gdy poznasz jakimi drogami szły myśli Twoich przodków).

Askenazy Szymon (1867-1935). Historyk. Autor licznych prac z dziejów Polski nowożytnej, jak „Książę Józef Poniatowski“, „Łukasziński“, „Napoleon a Polska“ (niedokończone). Przed pierwszą wojną światową profesor uniwersytetu lwowskiego, wychowawca całego pokolenia historyków polskich. Po wojnie przedstawiciel Polski w Lidze Narodów.

Berwiński R. W. (1819-1879). Poeta, publicysta, etnograf. Brał czynny udział w życiu narodowym, był dwukrotnie więziony przez władze pruskie. Poseł na sejm w Berlinie w r. 1852. Umarł w Turcji jako oficer dragonów otomańskich Sadyka Paszy.

Bystron J. St. (ur. 1892). Ludoznawca i socjolog. Profesor uniwersytetu warszawskiego.

Kaden Bandrowski Juliusz — współczesny pisarz polski; autor „Łuku“, „Generała Barcza“, „Czarnych Skrzydeł“, „Miasta mojej matki“ i in..

Konopnicka Maria (1846-1910). Wielka poetka polska, której utwory przepełnione są umiłowaniem człowieka i głębokiem współczuciem dla niedoli społecznej. Tragedię chłopca polskiego odmalowała w poemacie „Pan Balcer w Brazylii“.

Korzeniowski Józef Conrad (1857-1924). Znakomity pisarz światowej sławy, który czując się całe życie Polakiem pisał po angielsku.

Dzieduszyński Wojciech (1845-1909). Pisarz i publicysta, profesor estetyki na uniwersytecie lwowskim i polityk, poseł na sejm lwowski i do parlamentu wiedeńskiego, prezes Koła Polskiego, minister. Wybitny mówca.

Koźmian Stanisław (1836-1922). Literat i polityk. Konserwatysta krakowski, współautor „Teki Stańczyka“ (wraz z Szujskim i Tarnowskim).

Krzemiński Stanisław (1839-1912). Literat i publicysta. Człowiek nieskazitelnej czystości moralnej. W r. 1863 członek Rządu Narodowego.

Kwiatkowski Eugeniusz (ur. 188). Inżynier-chemik, docent politechniki warszawskiej, jeden z dyrektorów zakładów w Chorzowie, minister przemysłu i handlu, minister skarbu, wice-premier. Współtwórca C.O.P.-u.

Mickiewicz Adam (24.XII.1798 - 26.XI.1855). Największy poeta polski, jeden z wielkich poetów świata; mistrz słowa; twórca epopei narodowej — „Pan Tadeusz”. Napisał m. in.: „Dziady”, „Grażyna”, „Konrad Wallenrod”. Wraz z dwoma innymi wielkimi poetami polskimi — Juliuszem Słowackim i Zygmuntem Krasińskim — tworzy tróję wieszczów polskich.

Morcinek Gustaw — jeden z najzdolniejszych współczesnych pisarzy polskich młodego pokolenia; piewca Śląska.

Norwid Cyprian Kamil (1821-1883). Znakomity, głęboko myślący poeta, o idealistycznym, społecznym światopoglądzie.

Odyniec A. E. (1804-1885). Filaret. Przyjaciel Mickiewicza. Publicysta i literat.

Ostrowski J. B. (1805-1871). Radykalny publicysta emigracyjny.

Sienkiewicz Henryk (1846-1916). Powieściopisarz. Autor „Trylogii”, („Ogniem i Mieczem”, „Potop” i „Pan Wołodyjowski”), „Krzyżaków”, „Quo vadis”, „Legionów” (niedokończone). Za „Quo vadis?” uzyskał nagrodę Nobla. Był orędownikiem sprawy polskiej na forum międzynarodowym.

Ślonimski Antoni (ur. 1895). Poeta, autor dramatyczny, publicysta. Na emigracji założył miesięcznik „Nowa Polska”.

Smolka Stanisław (1854-1924). Syn znanego polityka, Franciszka. Profesor historii Polski i Austrii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wydawca licznych źródeł historycznych. Autor monografii „Mieszko Stary i jego wiek”.

Struwe Henryk (1840-1912). Profesor filozofii w Szkole Głównej i na uniwersytecie warszawskim.

Szczepanowski Stanisław (1846-1900). Działacz społeczny i pisarz. Posel na sejm i do parlamentu wiedeńskiego. Autor „Nędzy Galicji” i „Myśli o odrodzeniu narodowym”.

Szujski Józef (1835-1883). Historyk i publicysta. Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Autor czterotomowej „Historii Polski”. Sekretarz Akademii Umiejętności. Założyciel „Przeglądu Polskiego”.

Świętochowski Aleksander (1849-1938). Autor dramatyczny, nowelista i publicysta. Napisał m. in. „Historię chłopów polskich”. Przewódca postępców i pozytywistów warszawskich. Redaktor „Prawdy”. Jeden z najświetniejszych stylistów polskich.

Trentowski Bronisław (1807-1869). Filozof. Brał udział w powstaniu listopadowym. Wykładał filozofię we Fryburgu badeńskim. Pisał po polsku i niemiecku. Wsławił się dziełem „Chowanna, czyli system pedagogiki narodowej”.

Wasyłewski Stanisław (ur. 1885). Essayista o rozległej skali zainteresowań.

Weyssenhoff Józef (1860-1932). Powieściopisarz, autor m. in. „Żywota i myśli Zygmunta Podfilipskiego”, „Sprawy Dołęgi”, „Hetmanów”, „Sobola i panny”.

Wierzyński Kazimierz (ur. 1894). Poeta i nowelista. W r. 1928 odznaczony złotym medalem na olimpiadzie w Los Angeles za tom wierszy sportowych „Laur olimpijski” Członek Polskiej Akademii Literatury.

Wolska Maryla (1873-1930). Poetka.

Żeromski Stefan (1864-1925). Powieściopisarz, nowelista, autor dramatyczny, wsławiony szeregiem dzieł nieśmiertelnych, jak: „Ludzie bezdomni”, „Popioły”, „Wierna rzeka”, „Uroda życia”, „Walka z szatanem”, „Wiatr od morza”, „Sułkowski”, „Róża”, „Uciekla mi przepióreczka”, przepełnionych patriotyzmem i troską o człowieka. Artysta niezrównany w odtwarzaniu przyrody.

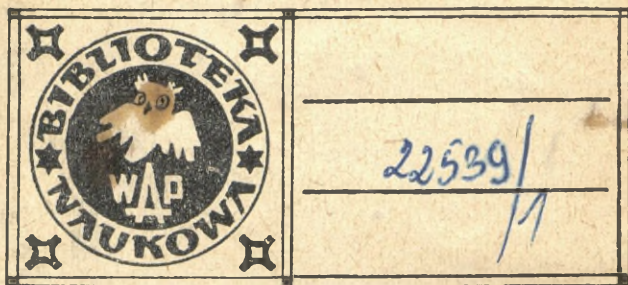
~~WOJSKO POLSKIE~~

~~Sztab Generalny~~

~~Biblioteka~~

~~Nr.~~

~~17/58~~



1954



20 LIP. 1950